

BARSZCZEWSKI STEFAN

ELIKSIR PROF. BOHUSZA

POWIEŚĆ

I

PROF. BOHUSZ.

Znużony pracą całodzienną, siadł w zwykłym kąciku kawiarni i popijając kawę, rozglądał się po publiczności.

Zapadłe, zmęczone ślęczeniem nad książkami i mikroskopem oczy znajdowały rzetelną rozrywkę w przyglądaniu się tym postaciom znanym i nieznanym, to gawędzącym przy kawie, herbacie lub piwie, to wchodzącym i wychodzącym, zajęтым sobą i swojemi sprawami, spotykającym tu przyjaciół, szukającym w kawiarni tej uciechy, spoczynku, albo załatwiającym w niej interesy własne i cudze. Ot, jak na świecie!

Odźwierciadlało mu się tu życie. Spieszył więc codziennie z cichej pracowni, z pośród flasz, probówek, retort, mikroskopów, książek i notatek do tego swego kącika, aby przy dźwiękach orkiestry kawiarnianej, kojących mu nerwy i myśli, popatrzeć na ten kalejdoskop.

I czasami, gdy myślą wybiegł poza ten tłum, choć oczy jego w nim tkwiły, zdawało mu się, że ta kawiarnia to taki światek maleńki, w którym ci, którzy przychodzą, z za świata przychodzą, a ci, którzy wy-

chodzą, za światy idą, skończywszy żywot doczesny.

Najbardziej jednak zajmowali go ci, których tu stale zastawał, gdy przychodził, i zostawiał, wychodząc. Zdawali się do tych krzesel i kanapek przyrośli, dziwne grzyby kawiarniane, patrzące na świat i słońce przez szyby okopcone, niezdolni już do żywszego ruchu, uniesień i zachwytów, dogorywający w tym zakątku ciepłym i przytulnym, starcy. Zajmowali go najbardziej, bo on właśnie tę samą starość czuł już w kościach, nerwach i mięśniach, choć wielki jego umysł uczuciowi się temu nie poddawał. Przeciwnie, buntował się, badał, szukał, wytoczył wojnę starości. Zwalczyć starość stało się celem życia jego.

Bo dlaczego nie możnaby jej zwalczyć tak, jak tylu innych chorób strasznych, uważanych przedtem za nieuleczalne? Wszak wiekopomne odkrycia Pasteura otworzyły zupełnie nowe widnokreśli, utorowały drogi nieznane nauce lekarskiej?

Wszak uczeni niepospolici wszystkich wieków nie wahali się dotykać tego zagadnienia, a choć nie osiągnęli celu, to nie dowód jeszcze, aby nie było istotnie sposobu zapobiedz zamieraniu tkanek, zwapnieniu się arterji, osłabieniu serca, słowem, tym wszystkim objawom fizjologicznym, które znamy pod nazwą starości — niedołęstwa życia, chylenia się ku grobowi? To „dlaczego?”—buntownicze, zacięte, któremu świat cały postęp zawdzięcza, ogarniało i jego mózg potężny, doprowadzało go do dedukcji wspaniałych, które już nieraz wywoływały podziw w kołach naukowych.

Całą wiedzę ogromną, czas i wysiłki poświęcił
zupełnie zadaniu zwalczania starości.

- -

Być znów młodym! Zwalczyć rozkładowe dzia-
łanie wieku, przygniatającego barki, zabić starość, po-
siadać znów energję, sprężystość, radość życia — mło-
dość przy doświadczeniu, nabytem z wiekiem!

Co za perspektywa niebotyczna!

Ot i teraz wzrok jego zmęczony, prześlizgując
się po klientach kawiarni, zawadził o framugę białą,
gdzie przed stolikiem marmurowym zasiadła na ka-
napce para młoda.

On, typowy młodzik miejski, wybladły od nocy
niedospanych, zwiędły już nieco od uciech tandetnych,
ale z uśmiechem na ustach i w oczach szyderczych
urwisa—ona, prześliczna, zgrabna dziewczyna, o oczach
ciemnych i włosach złocistych, które, wymykając się
z pod zgrabnego kapelusika, zdawały się otaczać
aureolą pyłu świetlanego jej twarzyczkę o cerze atła-
sowej.

Wpatrzona w swego towarzysza, rozchyłała co
chwila w śmiechu serdecznym usta różowe, ukazując
dwa szeregi ząbków równych i białych, jak mleko.
Nagle, jak to się często zdarza, uczuła bezwied-
nie wzrok w siebie utkwiony i zwróciła główkę ku
wtulonemu w kącik uczonemu.

Przez chwilę patrzyła w oczy jego wpatrzone
w nią uporczywie, poczem odwróciła się obojętnie.
Bo czem był dla niej, rwącej się do życia i do
użycia, ten jegomość o oczach zapadłych, twarzy po-
marszczonej i zaroście siwym, przygarbiony do ziemi

i życiem zmęczony?

Prof. Bohusz odczuł to spojrzenie i dotknęło go ono, gdyż dziewczę podobało mu się bardzo, zda-

wało się rozlewać dokoła ciepło, wdzięk i radość.

Uśmiechnął się wreszcie z goryczą.

Wszak to jej prawo. Prawo młodości. Pożądać kwiatu życia, nie zaś liści zwiędłych i pożółkłych.

Obok starości przechodzi obojętnie.

Inaczej być nie może.

I cóż mu z tego, że jest uczony i sławny; że prace jego zajmują ludzi wiedzy; że towarzystwa naukowe mianują go swym członkiem; że wszechnice proszą o przyjęcie katedr, choć stale odrzuca je duch jego niezależny; że, pomimo to nawet, jeden z uniwersytetów niemieckich nadesłał mu tytuł profesora honorowego za nowe, genialne badania nad białymi ciałkami krwi?

I cóż mu z tego, skoro starość przygniata już barki, a młodym właściwie nigdy nie był? Bo choć fotograf je jego z owych lat odległych pokazują mężczyzną o głowie wspaniałej, oczach dumnych, nosie orlim i ustach Antinousa, to jednak marzeniem jego wówczas była tylko sława.

Jej uzyskaniu poświęcił młodość, zdobył dyplom doktorski i pracował dalej, mijając z pogardą wszystko, co nie tyczyło się ulubionych badań naukowych, ksiąg i laboratorium. I tak niespostrzeżenie przeszły mu lata za latami, a gdy syt sławy i znużony dociekaniem naukowymi, zapragnął życia — spostrzegł dopiero wówczas, że już za późno, że pozostał, cpraw-

da, umysł wielki i lotny, ale ciało odmawia posłuszeństwa, że siły fizyczne pożera już choroba starości. I znów wyrwał mu się w duszy okrzyk gorący: Posiadać energję, sprężystość i radość życia—młodość

przy doświadczeniu, nabytem z wiekiem — co za perspektywa niebotyczna!

Lecz on, jak Prometeusz po ogień, sięgnie zuchwale do nieba po to, co Jehowa odebrał wygnancom z raju. I choćby sepy miały mu drzeć trzewia, zginie albo zwycięży. Alchemik nowoczesny znajdzie ów „kamień filozoficzny”, ów „eliksir wielki”, niweczający starość, pozwalający ludziom leczyć ją, jak inne choroby.

Tak! Jest już nawet na tropie właściwym. Setki doświadczeń, lata badań wskazały, że dedukcje jego były słuszne, że wyciąg, który przygotowuje, dokona swego.

A wówczas, strzeż się dziewczyno, której wzrok prześlizgnął się tak obojętnie po prof. Bohuszu!

* * *

Powrócił do swej pracowni, do swych flaszek, retort, epruwetek, mikroskopów, klatek ze zwierzętami i zagłębił się ze zdwojoną energją w pracy życia...

I oto, co było snem, chimera, niemożliwością, stało się ciałem. Prof. Bohusz dopiął celu. Odkrył eliksir młodości! Tego był prawie pewien, a przeświadczenie to przejęło go wzruszeniem głębokiem. Drżącą ręką podniósł epruwetkę do góry i patrzył pod światło na płyn zlekka opalizujący, który miał stać się treścią nowego życia, przekreślać całe dzie-

siątki lat, zwracać młodość i siły.

Tysiączne myśli biły mu do głowy. Radość, obawa, nadzieja przejmowały go kolejno, ale ponad wszystko czuł, że przede wszystkim na sobie musi doświad-

czyć działania owego wyciągu, którego skuteczność niewątpliwą stwierdził już na zwierzętach, zanim odważy się zastosować go do innych ludzi. Albo wnioski jego okażą się słuszne i osiągnie ów wymierzony wynik cudowny na sobie, albo też nieprzewidziane powikłania fizjologiczne wywołają skutek wręcz przeciwny, przyspieszą ostateczny rozkład tkanek lub sparaliżują działalność serca...

Wszystko jedno, co będzie! Czuje, że musi zrobić ten krok ostateczny, który albo uwieńczy dzieło, albo zburzy cały gmach marzeń.

Nadeszła ta chwila. Teraz już zupełnie spokojny, jak przy doświadczeniach nad zwierzętami, ujął palcami lewej ręki skórę, tworząc fałd wystający, a prawą, ruchem pewnym, zagłębił w fałd ten igłę szprycki i nacisnął tłok. W miarę przedostawania się cieczy pod skórę, przejmował go ból palący, gwałtowny, lecz nie drgnął nawet.

Nareszcie dowie się o rezultacie pracy długoletniej. Nareszcie stwierdzi działanie odkrycia swego. Zmęczony bólem położył się na otomanie. Zimny pot okrył mu czoło. Otarł go chustką i czekał.

Stopniowo ból w miejscu zastrzyknięcia łagodniał i wreszcie minął zupełnie. Od czasu do czasu tylko, jakby echo bólu odzywało się w rance, natomiast uczył dziwne ciepło, rozchodzące się po ciele.

Z początku przyjemne to uczucie, przechodziło stopniowo w podniecenie. Pod wieczór stwierdził, że ma gorączkę. Paliła go twarz, piekły ręce. Termometr wskazywał stopni.

Pełen niepokoju i oczekiwania, położył się do łóżka. W nocy gorączka nieco spadła. Wystąpiły zato poty i pomimo silnego postanowienia czuwania nad skutkami zastrzyknięcia wyciągu, nie mógł opanować senności. Wreszcie zasnął twardo.

Był już dzień jasny, gdy się obudził. Bólu, gorączki, potów — ani śladu. Rzeźko zerwał się z łóżka. Miał wrażenie, że nowa krew, bujna i wrząca, płynie mu w żyłach. Tak, czuł, że jedno to zastrzyknięcie wczorajsze przynosi mu zapowiedź powrotu młodości.

To też, pogwizdując wesoło, zabrał się do ubierania.

Stara służąca, Marta, czekająca już od godziny ze śniadaniem, słuchała zgorszona tego gwizdu, gdyż nie mogła wyobrazić sobie, aby profesor, zawsze tak poważny i zamyślony, mógł się zdobyć na taki figiel.

— Może — pomrukiwała, kręcąc się po jadalnym pokoju — pozwolił sobie wczoraj gdzie w towarzystwie? Wreszcie wyszedł do niej lekki i radosny.

— Dzień dobry, Marto — zawołał — pięknie dziś na świecie!

— Dzień dobry panu profesorowi. Żeby pięknie było, to nie powiem. Zbiera się na deszcz, ale pan profesor dzisiaj wesoły, a spał tak, że nie mogłam doczekać się ze śniadaniem.

— No, ale już jestem i do tego głodny! — rzekł, śmiejąc się i pogłaskał starą po twarzy.

— Niema co—mruknęła, znalazłszy się w kuchni — pozwolił sobie wczoraj nieboraczysko i jeszcze nie wytrzeźwia!

Bohusz tymczasem zasiadł do stołu. Dawniej, ba, wczoraj jeszcze, wypijał co prędzej kawę, rzucał

okiem na telegramy w dzienniku, który prenumerował i spieszył do pracy. Dzisiaj, ku zdumieniu Marty, jadł z apetytem wilczym wszystko, co mu podała i z zajęciem przeglądał nie tylko depesze, ale i wiadomości miejskie w swym dzienniku, dziwiąc się, że przedtem nie zwracały uwagi jego te często drobne, ale zawsze malujące chwilę obecną, objawy życia.

Nie dosyć na tem, gdy bowiem po śniadaniu zabrał się do pracy, uczuł, że nie idzie mu jakoś. Nie mógł myśli zebrać, niecierpliwiło go to, nad czem dawniej ślęczył z lubością całemi godzinami, zapominając zupełnie o świecie zewnętrznym.

Dziś poziewał, przeglądając notatki lub nachylając się nad mikroskopem. Wreszcie nie wytrzymał i rzucił pracę.

— Widocznie — myślał—nie minęło jeszcze podniecenie. Nerwy potrzebują wypoczynku.

Spojrzał przez okno. Rozpraszały się chmury.

Gorące słońce lipcowe świat złociło. Do pokoju wpadła pszczoła zbłąkana i brzęcząc, szukała wyjścia.

I nagle wzięła go chęć ogromna zaczerpnięcia pełnemi płucami woni pól i łąk, zobaczenia zieleni, kwiatów, zboża falującego na łąkach.

Porwał kapelusz i laskę i raczej wybiegł niż wyszedł na ulicę.

Jakże pięknym i wesołym wydał mu się teraz świat, do którego dawniej nigdy nie tęsknił; jakże uroczym ten cienisty park miejski, który uważał zawsze za jakąś wystawę nianiek z niemowlętami, lecz nie za miejsce dla ludzi pracy. Wkrótce jednak i park okazał się za ciasny dla niego, tyle sił i energii czuł

- -

w sobie, tak pociągało go wszystko. Wskoczył więc do tramwaju i nie wysiadł, dopóki nie zobaczył przed sobą szerokich, pokrytych zbożem pól, srebrzystej wstęgi rzeki, zieleni lasów i ogromu niebios, po których fantastycznymi kłębami sunęły obłoki perłowe. I jak student w pierwszych dniach wakacji letnich, brodził po polach, wywijając laską i nucąc piosenki, które kiedyś słyszał w latach dziecięcych, a które teraz obudziły się do życia, ukryte gdzieś w tkankach mózgowych; wstąpił do mleczarni podmiejskiej; z rozkoszą wylegiwał się na murawie wśród drzew szumiących lasu, zanim wreszcie, z pękiem kwiecica polnego w ręce, znużony i opalony, ale szczęśliwy, pomyślał o powrocie do domu.

Gdy wchodził do przedpokoju, Marta, zaniepokojona próżnem oczekiwaniem, gdyż pora obiadowa minęła już dawno, wybiegła na jego spotkanie. — Co się panu profesorowi stało? — zawołała głosem strapionym. — Obiad już do niczego. Wszystko wystygło. Bóg wie co przychodziło mi do głowy! Od godziny wyglądam przez okno, a profesora ani widać. Chwała Bogu, że nareszcie pan profesor wrócił!

Bohusz uśmiechnął się, zabawiony tym niepo-

kojem wiernej służącej i ocierając spocone czoło, podał jej pęk kwiatów uzbieranych.

— Niechno Marta — rzekł—włoży to do wazonu i postawi na stole. Byłem za miastem.

Marta spojrzała podejrzliwie.

Kilkanaście już lat służyła u prof. Bohusza, a nie zdarzyło się jej jeszcze, aby ten człek poważny i za-

głębiony w nauce, wybierał się sam jeden na wycieczki podmiejskie.

— Co mu się stało? Czy mu kto uroku zadał?— powtarzała, odgrzewając zupę i przypomniawszy sobie niezwykle wybryk poranny profesora.

Tak minął pierwszy dzień działania eliksiru młodości.

Tej nocy profesor spał, jak zabity. Zastrzyknięcia postanowił ani tego, ani następnego dnia nie powtarzać, aby zbadać, o ile trwałe będą jego skutki.

Na drugi dzień podniecenie dnia pierwszego minęło, widocznie pod wpływem niezwyklego wyładowania energii fizycznej, tak sprzecznego z dotychczasowym trybem życia, pozostało jednak uczucie rzeźkości, pozostał też apetyt, policzki nabrały barwy, a oczy blasku.

Trzeciego wreszcie dnia zastrzyknął sobie drugą dawkę. Nastąpiły te same objawy: najpierw ból gwałtowny, potem podniesienie temperatury, wreszcie poty i senność przemożna.

Gdy się ocknął czwartego dnia, uczuł nowy napływ siły i zdrowia. Ubrał się szybko i zjadł śniadanie, żartując z Marty, nie mogącej pojąć, co się dzieje

z tym dotychczas tak poważnym, małomównym i najczęściej tetrycznym profesorem, zgarbionym i postępującym czasem, a dziś tak ruchliwym i rzeźwym, jak młodzieniec.

Bo też istotnie młodość powracała. Po dziesięciu dniach stwierdził, że włosy na wąsach, brodzie i głowie zaczynają przybierać od korzeni dawną złocistą barwę, stają się gęstsze i bujniejsze, a na łysinie, nad

- -

czołem, pojawia się mech złocisty włosów nowych; że dotychczas zapadłe oczodoły zapełniają się, a oczy, jakby pchnięte naprzód, nabierają czystości i przejrzystości; że zmarszczki w kątach oczu nikną zupełnie, cera staje się gładka i różowa, bez plam i pięten starości; że na rękach znikają fałdy i wypukłości stawów, mięśnie przedramion rosną, a nogi prostują się i prężnieją. Nie ulegało już wątpliwości, że młodniał z dnia na dzień, że wracał do pełni sił, rozkwitu wieku męskiego. Przejmowało go to radością taką, o jakiej nie miał nawet pojęcia. Radością nie tylko samolubną z odzyskania tego, co zdawało się już niemożliwe do odzyskania, ale także radością odkrywcy, że osiągnął triumf, nad którym pracowali na próżno uczeni całego świata od tysiącleci. Dziesiątki pokoleń kładły się w grób, nie przewidując nawet, że można uniknąć starości lub wyleczyć ją, jak wszelką inną chorobę, a on, profesor Bohusz, dokonał tego, osiągnął szczyt marzeń ludzkich, stał się najślawniejszym człowiekiem na świecie, bo nie wątpił, że skoro wieść o eliksirze młodości rozniesie się wśród ludzi, to imię jego wynalazcy rozbrzmiewać będzie, jak grom, że zaćmi najgłośniej-

sze imiona poetów, kompozytorów, wirtuozów, lekarzy, bohaterów...

Zauważył jednak i to, co najpierw wziął za skutek podniecenia chwilowego, mianowicie, brak chęci do pracy, tej mrówczej pracy codziennej, której przy genialnym umyśle zawdzięczał właśnie tak wspaniałe wyniki naukowe, a która przedtem stanowiła treść życia jego. Teraz rozglądał się po świecie z podziwem i zaciekawieniem, oczyma szeroko rozwartymi, jak

u dziecka. I pociągało go teraz właśnie to, co dawniej, w tym okresie, który nazywał już pierwszą młodością, było dla niego zupełnie obojętne. A że zawsze był odludkiem i znajomości osobistych posiadał niewiele, rodziny zaś nie znał wcale, dalecy bowiem, jedyni krewni jego mieszkali gdzieś na głębokiej prowincji—stał się więc gościem teatrów, koncertów, zabaw publicznych, wymykał się na wycieczki bliższe i dalsze, zainteresował się nawet gorąco sportami wszelkiego rodzaju.

Z początku dziwny, niespodziewany ten zwrot zastanawiał go i niepokoił, gdy notował skrupulatnie, z dokładnością badacza, przejawy działania swego wynalazku i gdy powracały jeszcze od czasu do czasu porywy do pracy naukowej. Po dwudziestu jednak dniach stosowania wyciągu, poddał się zupełnie temu nowemu stanowi rzeczy, a raczej nie odczuwał go już wcale. Przeciwnie, gdy zastanawiał się nad stanem dawnym, to właśnie ta dawna jego powaga, zasklepienie się w laboratorium i bibliotece, bez innych przyjemności, jak praca i nauka, zdawały mu się nie-

naturalne i śmieszne i dziwił się, że mógł życie takie prowadzić.

Tymczasem eliksir działał w dalszym ciągu.

Bujny zarost na głowie i twarzy przybierał coraz bardziej dawną, piękną barwę złocistą, kształty zaokrąglwały się i rosły w miarę odzyskiwania przez muskulaturę ciała dawnych młodzieńczych rozmiarów, wszystkie ścięgna zwały się i stężały, kości odzyskały moc i elastyczność, wskutek czego kark się wyprostował, głowa podniosła dumnie i wreszcie pewnego dnia

- -

Spostrzegł, że ubranie, które dawniej wisiało na nim luźno, jak worek, teraz pęka mu na szwach, za ciasne i za krótkie, że wygląda w niem wprost zabawnie.

Nie było innej rady, jak kupić nowe i to zaraz, bo w dziwnym stroju dawniejszym nie wytrzymałby ani dnia dłużej.

Przypomniawszy sobie wyczytany w dzienniku adres jednego z największych magazynów miasta, udał się tam natychmiast. Nie mało jednak kłopotu mieli subjekci z tym klientem źle i niezgrabnie odzianym, zanim zdołali zaspokoić wymagania jego, bo gdy dawniej uważał ubranie za rzecz całkiem podrzędną, na którą człowiekowi rozumnemu nie wypada i nie warto tracić czasu i uwagi—teraz stał się nadzwyczaj wybredny. Po długim wreszcie przebieraniu w wielkich stosach ubrań, wybrał kilka garniturów najmodniejszych i, przywdziawszy zaraz wytworny garnitur letni, resztę kazał odesłać sobie do domu. W tym samym magazynie uzupełniwszy jeszcze garderobę, od stóp do głowy odświeżony, wyszedł pod inną już zu-

pełnie postacią na ulicę. Tu spostrzegł dziewczę, sprzedające kwiaty. Przystanął, kupił piękny goździk pasowy, dał wpiąć go sobie w butonierkę i rzucił kwiaciarce banknot, przewyższający dziesięciokrotnie cenę, żadaną za kwiatek.

Już od paru tygodni nieliczni znajomi odludka profesora spoglądali z podziwem, jak rozruszał się, ożywił, stał się krewki, zdrowy, młodzieńczy. Lecz dzisiaj, w tym stroju modnym, z pod igły, niktby go już nie poznał.

- -

Istotnie, spotkał niebawem dawnego swego ucznia, z którym nawet łączyły go niegdyś stosunki nie ledwie przyjaźni. Uczeń, człowiek już podstarzały, spojrział na idącego szybko, krokiem elastycznym, wytwornego jegomościa wzrokiem obojętnym. Bohusz zato, poznawszy ucznia, uśmiechnął się uprzejmie i ruchem zgrabnym uchylił kapelusza. Powitany, spostrzegłszy ten ruch, zdjął także szybko kapelusz, ale z oczu jego wyczytać było można, że zgoła nie wie, kto mu się kłania i raczej przypuszcza omyłkę.

Z nie mniejszym również podziwem, jak obcego intruza, powitała tego eleganta z kwiatkiem w butonierce stara Marta, gdy wrócił do domu. Zaniepokojona pospieszyła do kuchni, gdzie właśnie znajdował się woźny Towarzystwa naukowego, przychodzący kilka razy na tydzień sprzątać laboratorium i pracownię profesora, czyścić naczynia laboratoryjne i przyrządy naukowe, jako obeznany z tego rodzaju czynnościami. I on szeroko otwierał oczy na zmiany, jakie zaszły w profesorze Bohuszu, mając jednak wielki respekt

dla ludzi świata naukowego, któremu posługiwał i będąc z natury małomówny, kiwał tylko głową, nie śmiąc się odezwać.

— Czary, panie Józefie, czary! — zawołała, wpadając do kuchni. — Nie tylko, że nasz profesor odmłodniał, ale wystrychnął się na wielkiego pana. Pobiegłam, aby mu pomóc zdjąć palto, a tu patrzę, w przedpokoju stoi jakiś elegant zupełnie obcy, w złotych butach, jasnym palcie, z kwiatkiem w guziku. Ażem krzyknęła. A pan uśmiechnął się i powiada: — A co, po ludzku teraz wyglądam

- -

Tu wykręcił się, trzasnął obcasami, jak młodziak i skoczył do pokoju.

— Niechno pan spojrzysz, panie Józefie — dodała, zaglądając przez dziurkę od klucza.

Józef spojrział i ujrzał profesora, stojącego w jałdalmym pokoju przed zwierciadłem i poprawiającego krawat.

— Dalibóg! — szepnął — to chyba czary. Boć wiadomo, że choroba, albo i nieszczęście, mogą z młodego człowieka zrobić starego, ale żeby ze starego, za przeproszeniem, grata, zrobić młodego eleganta, tego jeszcze nie słyzałem, choć człowiek przecież tyle lat obraca się wśród różnych profesorów i doktorów uczonych.

— Czary, czary! — powtarzała wciąż Marta.

— A może — szepnął Józef, uderzając się w czoło — znalazł kwiat paproci! Bo to powiadają, że kto taki kwiat w noc świętojańską znajdzie, to mu się wszystkie skarby otwierają i może mieć, co chce. Martę zastanowiły mocno te słowa.

— Kto może wiedzieć? — rzekła zamyślona. —
Może i znalazł. Bo rzecz to przecież niesłychana!
Niedawno jeszcze stary, zgarbiony, wciąż nad książka-
mi i swemi szkiełkami, tak, że nie mogłam się dopro-
sić aby zjadł obiad, a dziś młody, elegancki, lata, jak
ten pędziwiatr, po zabawach i prawie, że nie tknie
książek swoich. Co tu robić panie Józefie, co tu robić?
— A na co? — odparł Józef filozoficznie. — Czy
was krzywdzi?
— Gdzieżtam! — zawołała Marta. — Przedtem
był taki ci wyrachowany, że o każdy grosik trzeba
się było użerać. Żałował sobie wszystkiego, aby tylko

- -

ha te książki I szkiełka wystarczyło, a dziś daje, ile
powiem i to jeszcze mu za mało i sam do domu
różne dobre rzeczy znosi, bo je teraz za dziesięciu.
— No, no! — kiwał Józef głową. — A może
gbur się zrobił?
— I to nie! Dawniej też zły nie był, ale mruk
okropny. Rzadko kiedy do człowieka się odezwał.
A jeżeli się odezwał, to tak, jakby języka żałował.
Niech Marta zrobi to, przyniesie owo! — i tyle. A teraz
to i pogada i pożartuje, a czasem nawet — dodała
zażenowana — uszczypnie albo wpół obejmie, wesoły,
jak student.
Józef zaśmiał się cicho.
— I czego—westchnął — chcecie więcej, kobieto?
Oj, żeby to on mnie takim młodym zrobił!
Marta wydeła pogardliwie wargi, ale Józef tego
nie widział, zamyślił się bowiem głęboko nad możli-
wością powtórnej młodości.

II PIERWSZY PACJENT.

Po dniach czterdziestu siwizna znikła zupełnie. Zamiast dawnej łysiny, nad czołem wznosiła się bujna, złocista czupryna, piękny, pokrętny wąs ocieniał wargi pełne i różowe, a rozczesaną, gęstą jasną brodą opadała na szeroką pierś męską. Zęby, pożółkłe już i chwiejne zwały się i zbielały, oczy spoglądały na świat dumnie i śmiało — cała postawa zdradzała siłę, gibkość i zręczność — słowem, eliksir młodości uczynił swoje, profesor Bohusz zrzucił z siebie, jak Faust, powłokę starca, stanął przed światem odrodzony w pełni rozwoju wieku męskiego.

Ale jednocześnie z tem odrodzeniem fizycznym, nauka wietrzała mu z głowy. Już teraz notatek nawet nie spisywał, a gdy Józef przychodził do laboratorium dla robienia porządków, to cała jego czynność ograniczała się do ścierania kurzu ze „szkiełek”, jak Marta nazywała wszystkie te naczynia i przyrządy laboratoryjne. I książki w bibliotece nie opuszczały już półek, spoglądając melancholijnie na ciszę i pustkę pracowni. Czasami, wchodząc do tego przybytku, Bohusz uczuwał jakby wyrzut sumienia. W chwilach takich chwycił swe zeszyty i postanawiał sobie mocno skon-

czyć prace zaczęte, skreślić plany nowych, odświeżyć w pamięci rzeczy zapomniane. Gdy jednak zabierał się do porządkowania notatek i rękopisów, to ogar-

niało go uczucie dziwne. Oto, zdawało mu się, że czyta prace obce, których dotychczas nie znał. Często nawet musiał zastanawiać się głęboko, aby zrozumieć to, co sam tak niedawno jeszcze napisał. I wnet rozpraszają się myśli, lecąc do świata i ludzi, uczuwał wstręt do tych papierów, krew wrzała do ruchu i uciechy. Doszło wreszcie do tego, że gdyby nie skrupulatnie spisywane w dniach powagi i starości doświadczenia i formuły, to nie byłby już w możliwości — czuł to dobrze — odtworzyć genialnego swego wynalazku. Był dla nauki stracony.

W jednej z chwil takich, zerwawszy się od biurka i wybiegłszy na ulicę, jak uczeń, ucieszony, że pozwolono mu przerwać męczące wykuwanie lekcji, znalazł się przed kawiarnią, do której w starości tak często zaglądał, a o której nie pomyślał od czasu rozpoczęcia kuracji. I nagle przyszła mu chęć zajrzeć tam po dwu prawie miesiącach niebytności.

Wszystko zastał po dawnemu. Ten sam szwajcar, ci sami kelnerzy, ta sama orkiestra, te same grzyby kawiarniane, pochylone nad stolikami i rozprawiające o polityce wśród dymu papierosów. Skinął głową szwajcarowi i znajomym kelnerom, lecz kłaniali mu się, jak człowiekowi zupełnie obcemu. Bo któżby przypuszczał, że ten śmigły, prosty, jak świeca, piękny mężczyzna o bujnym jasno-blond zarostie jest tym samym starym, siwym, zgarbionym i zaniedbanym profesorem Bohuszem, który do niedawna siadywał

regularnie co wieczór tam, w kąciku, przy szklance kawy, wiecznie zamyślony i milczący.

— Zapewne umarł lub wyjechał — mówili, spoglądając na pusty kącik i przechodzili do innych gości, jak przechodzi żołnierz, idący do ataku nad tymi, którzy ubyli z szeregów, jak przechodzi wogóle ludzkość nad mogiłami pokoleń minionych. Życie się nie cofa.

Lecz cofnął je prof. Bohusz. Młody, tryumfujący, stał na schodku, wiodącym z jednej sali do drugiej i rozglądał się uśmiechnięty po publiczności, gdy nagle wzrok jego zatrzymał się przy jednym ze stolików, bo ujrzał tam tego samego młodzieńca wybladłego, o oczach urwisa, z tą samą śliczną dziewczyną o aureoli włosów złocistych, wymykających się z pod zgrabnego kapelusika, którzy zwrócili byli jego uwagę wówczas, gdy tu po raz ostatni zajrzał.

Jakże inaczej jednak spoglądał na nich, a raczej na tę śliczną dziewczynę, teraz, gdy był młody, pewny siebie i piękny!

I zabiło mu serce gwałtownie, a krew uderzyła do głowy, bo i nieznajoma, ulegając spojrzeniu w siebie utkwionemu, zwróciła ku patrzącemu na nią oczy, ale jakże inaczej spoglądały te oczy, niż wówczas!

Teraz było to przeciągłe spojrzenie zainteresowania, pełne wyrazu takiego, jakgdyby usta chciały wydać okrzyk radosny.

Bohusz nie zawahał się ani chwili. Spostrzegłszy tuż obok parki stolik wolny, pospieszył ku niemu i kazawszy podać sobie kawy, zwrócił na nieznajomą wzrok śmiały bezczelnie,

I znów spotkały się ich oczy, a po twarzycze

blondynki przebiegł rumieniec, jak mgielka różowa. Zauważył to jej towarzysz i spojrzał na Bohusza wyzywająco. Bohusz odpowiedział przelotnym spojrzeniem obojętnym, zupełnie zajęty młodą kobietą. Rozdrażniło to widocznie bladego młodzieńca, przesunął bowiem krzesło, zasłaniając Bohuszowi widok swej towarzyszki. Nasz odmłodzony profesor uśmiechnął się na ten manewr i, spostrzegłszy na ustach nieznajomej również uśmiech przelotny, przesiadł się spokojnie na inne krzesło, tak, że miał ją znów przed oczyma. Młodzieniec nie zauważył tego, gdyż, rozpostarty rękoma na stole, żywo opowiadał coś towarzyszce. W końcu wszakże musiało go uderzyć jej roztargnienie, bo odwrócił się niecierpliwie i spotkał wesołe oczy Bohusza. Zrozumiał. Oparłszy tedy rękę na poręcz krzesła, utkwiał wzrok urwisa w natręcie. Bohusza zabawiło to i uczuł chęć nieprzepartą dać szcztka w nos temu rywalowi, a zanim jeszcze dzika ta myśl zgasła, już ręka sięgnęła do wyzywającej twarzy, rozległ się cichy trzask matowy i oszłomiony tą niespodzianką młodzieniec przechylił się tak mocno w tył, że omal nie spadł z krzesła. Zdołał jednak utrzymać równowagę, zerwał się i podniósł rękę. W powietrzu jednak spotkała ją ręka Bohusza, który nie ruszył się nawet z miejsca, i ruchem krótkim a mocnym przygwoździła wprost przeciwnika do krzesła. Stało się to tak szybko, że nawet najbliżsi goście kawiarniani nie spostrzegli zajścia,

Młodzieniec syknął z bólu, bo palce Bohusza

ścisnęły mu kiść, jak kleszcze żelazne i już miał wybuchnąć, ale błagalnym ruchem i wejrzeniem powstrzymała go od tego piękna towarzyszka.

Bohusz sięgnął do kieszeni, dobył kartę wizytową, rzucił ją na stół przed znieważonym i wyszedł z kawiarni, ukłoniwszy się szarmancko nieznajomej, której oczy, w pierwszej chwili pociemniałe z oburzenia, spoglądały teraz na niego z niemym przestraszonym sarenki leśnej, ale — i podziwu.

Wyszedł, bo ogarnął go wstyd tego, co się stało.

Jak to? On, człowiek poważny, uczony, ba, sława naukowa, profesor honorowy, postąpił, jak żak szkolny?

Refleksje te jednak nie trwały długo. Przewyciężyła je siła bujnej młodości, nie chodzącej przecież w parze z rozwagą, to też, gdy wracał późną nocą z wesołej operetki do domu, przypominał sobie to zajście w kawiarni bez wyrzutów, jako zdarzenie zabawne.

Nie mniej cały dzień następny spędził w domu, spodziewając się, że obrażony młodzieniec przyśle mu sekundantów. Czekał wszakże na próżno, a chwile nudy — bo do pracy naukowej nie czuł już żadnego pociążu — osładzało mu powracające natarczywie wspomnienie uśmiechu różowych ust dziewczyny złotowłosej. To też, gdy wieczór nadszedł, pospieszył do kawiarni z nieokreśloną nadzieją zapoznania się z piękną osobką bez względu na sytuację, wywołaną przez zajście wczorajsze.

Zaledwie zasiadł przy stoliku, wpatrzony w puste, smutne dziś miejsce, w którym wczoraj ją widział, gdy

zaszeleściła jedwabna sukienka, ciche: Przepraszam? — zabrzmiało mu nad głową i zgrabna, wiotka nieznanajoma przesunęła się, roznosząc subtelną woń perfum, tuż obok niego, aby zająć miejsce wczorajsze, pod oknem.

Możnaby było przysiąc, że nie widzi wcale Bohusza i że, zapatrzona w okno, oczekuje na kogoś. Ale po chwili wzrok jej oderwał się od szyby, przebiegł po kawiarni i spostrzegł sprawcę wczorajszego zajścia. We wzroku tym przemknął jakby wyraz zdziwienia. Bohusz podchwycił go i uchylił kapelusza. Odpowiedziała ślicznym skinieniem główki. Podszedł więc do jej stolika.

— Pozwoli pani?

— Proszę.

— Przedewszystkiem — szepnął — muszę przeprosić za zajście wczorajsze. Naraziłem panią na nieprzyjemność i żałuję tego niewymownie.

— A nie żal panu pokrzywdzonego?

— Przeciwnie. Gotów jestem udzielić mu satysfakcji. Dziś przez dzień cały czekałem...

— Sekundantów, nieprawdaż? Wiedziałam — dodała tryumfująco, potrząsając główką — że tak będzie!

— Pochlebia mi ta pewność pani. A pokrzywdzony — nie wiem, jak nazwać...

— Kolega mój.

— Kolega pani?

— Tak, z „Białego szczura”.

— Aktor.

— Piosenkarz.

— A pani?

— Tancerka.

— I ja, grzeszny—zawołał—nie wiedziałem, że wystarczyło pójść do „Białego szczura”, aby panią zobaczyć! Zarumieniła się lekko.

— Czy nie lepiej panu tak, jak teraz — odparła filuternie.

— Czy może pani wątpić?

Roześmiała się, pokazując równe, perłowe ząbki.

— Pytał pan — rzekła — o pokrzywdzonego.

Niechże pan czyta!

Przy tych słowach otworzyła woreczek srebrny, wyjęła ćwiartkę papieru, złożoną we czworo i podała Bohuszowi.

„Kochana Dziuteczko! — brzmiał list.—Dziś wyjść z domu nie mogę. Nos mi spuchł. Okładam go wodą gulardową. Ale drogo to będzie kosztowało tego Bohusza! Jutro podaję skargę do sądu”...

Bohusz przerwał czytanie.

— Więc to dlatego — zawołał — czekałem na próżno! I co pani na to?

Dziutka wykrzywiła usta pogardliwie.

— Głupiec! — rzekła krótko.

Bohusz byłby ją uściskał.

— Ale wie pani, co mi przyszło do głowy? Oto, będzie pani musiała teraz przeciwko mnie świadczyć!

— Myślałam o tem! — zaśmiała się wesoło.

— I co pani wymyśliła?

— Bo ja wiem? No... jakoś to będzie.

Wymówiła te słowa z wdziękiem tak naiwnym, że odruchowo wyciągnął rękę i ucisnął drobną jej dłoń, spoczywającą na stole.

Obojgiem wstrząsnął dreszcz rozkoszny, objęła ich fala gorąca, a z oczu bił blask radości życia i kochania.

* * *

W tydzień potem Bohusz stanął przed sądem, jako oskarżony o znieważenie czynne artysty kabaretowego, Iksa.

W ciasnej sali tłoczyła się publiczność różnorodna, jak zwykle w sądzie pokoju. Obok właściciela domu stróż, obok handlarza dorożkarz, obok wyelegantowanej pani praczka. Tym razem napłynęło tu też grono artystów i artystek z „Białego szczura”, spoglądających z zainteresowaniem na wyniosłą postać Bohusza, stojącego w kącie sali i rozmawiającego szeptem z uroczą Dziutką. Zwłaszcza koleżanki tancerki intrygował mocno ten piękny, wytworny winowajca.

Wreszcie przyszła kolej na sprawę artysty kabaretowego, Iksa, przeciwko Janowi Bohuszowi.

Wezwany stanął przed kratkami.

Sędzia, człek stary, łysy, o krzaczastych brwiach, krwią nabiegłych, załzawionych oczach i siwej brodzie, spojrzął z ponad złotych okularów na oskarżonego.

— Jan Bohusz? — spytał głosem ochrypłym.

— Tak jest, panie sędzio.

— Zajęcie?

— Przyrodnik.

— Wiek?

Tu znów krewka młodość wzięła górę. Nie zważając, jakie sprawi wrażenie, Bohusz spojrzął, uśmie-

- —
chając się, w starcze oczy sędziego i odparł do-
nośnie:

— Siedemdziesiąt dwa lata!

— Wiele? — spytał sędzia, otworzywszy usta
i przyłożywszy dłoń do ucha.

— Siedemdziesiąt dwa lata.

Na sali rozległ się chychot przytłumiony i parska-
nie. Zadygotała z gniewu obwisła, dolna warga sę-
dziego i zatrzęsała się siwa broda. Groźnie spojrzwały
krwią nabiegłe oczy po sali, w której wnet zapanowała
cisza głęboka, poczem spoczęły na Bohuszu.

— Czy oskarżony zdaje sobie sprawę — zaskrze-
czał stróż sprawiedliwości — że grozi mu kara za
obrazę sądu?

— Nie mam zamiaru — odparł Bohusz — obrażać
pana sędziego.

— Jak to? Przecież to kpiny, co pan powiada!

— Ja nie kpię, panie sędzio. Mówię zupełnie
poważnie.

— Czy pan wie — zawołał na to zaperzony
starzec, a ręka jego uderzała w papiery, rozłożone na
stole — że ja, ja mam przeszło lat siedemdziesiąt?

— I ja także, panie sędzio!

Na te słowa sędzia skoczył na krzesło, a po sali
rozległ się teraz prawie zupełnie już głośny śmiech
publiczności.

— Uciszyć się! — zagrzmiął tubalny głos woźnego
sądowego, sędzia zaś spojrział pytającym wzrokiem na
jednego i na drugiego z siedzących po obu jego
stronach ławników. Jeden z nich nakreślił przytem
nieznacznie palcem kółko na czole.

— Chyba! — mruknął starzec, poczem zwrócił się do Bohusza.

— Czy oskarżony posiada jakie dokumenty osobiste?

— Posiadam pasport — odparł Bohusz i wy dobył z pugilaresu ten dokument.

Sędzia przejrzał kartki pasportu.

— I pan śmie — warknął, spoglądając groźnie na Bohusza — używać cudzego pasportu?

— Ależ, panie sędzio!

— Nie przerywać! Pasportu swego imiennika, słynnego fizjologa, profesora Bohusza...

— Ależ, panie sędzio!

— Nie przerywać, powiadam!... autora dzieła o ciałkach krwi — ciągnął dalej stary, pragnąc widocznie zaimponować oskarżonemu — którego portret swego czasu pisma podały, a którego fotografię widzę tu, przy pasporcie?

— Panie sędzio — odparł szybko Bohusz, a kąty ust drgały mu śmiechem — tym fizjologiem, autorem dzieła „O nowych badaniach nad białymi ciałkami krwi” jestem ja, a ta fotografia, to moja fotografia!

W sali zapanowała teraz głęboka cisza zaciekania, podtatusiały zaś ławnik, siedzący po prawej stronie sędziego, spojrział na starca wzrokiem takim, jakby chciał powiedzieć: „Czy nie mówiłem?” — i znów nakreślił nieznacznie kółko na czole.

Ale stróż Temidy postanowił snadź wyczerpać wszystkie argumenty badania.

— I pan twierdzi — rzekł, hamując już oburze-

nie — że ten starzec, to pan?

— Tak, panie sędzio, to ja, gdy byłem jeszcze stary!

Bohusz wymówił te słowa tonem takim, jakim kto inny powiedziałby: „Gdy byłem jeszcze młody!”. Na sali powstał szmer podziwu. Wszyscy wyteżali słuch i oczy, zaciekawieni tym pojedyńkiem niezwykłym. Większość jednak zdradzała postawą i wzrokiem, że uważa Bohusza za obłąkanego. Wiodocznie i Dziutka należała do nich, bo zarumieniła się i wprost z przestachem spoglądała na kochanka. Bohusz jednak nie widział tego, zwrócony ku sędziemu i mówił dalej tym samym głosem, jakby drwiącym z całego świata.

— Tak, panie sędzio, bo wynalazłem środek zwalczania starości tak, jak wszelkiej innej choroby. Szmer na sali zwiększył się jeszcze bardziej. Kilka osób powstało i wyciągnęło szyje, aby przyrzec się lepiej temu, który wymówił te słowa niesłychane.

— Jaki pan masz na to dowód? — zapytał sędzia, któremu słowa przeciskały się z trudem przez gardło zaschnięte, a ręce, trzymające pasport, drżały febry cznie.

— Najpierw siebie, panie sędzio. Dalej tych, którzy znali mnie starym i widzieli skutki mego wynalazku, wreszcie—tu podniósł głos i przesunął wzrok po starcu i jego ławnikach — jestem gotów na każdym z panów dowieść prawdy słów moich, jestem gotów, powtarzam, każdemu z panów przywrócić młodość,

uczynić to, że fotografię i na waszych pasportach uchronić będą za cudze!

- -

Słowa te powiedział głosem tak pewnym siebie i tryumfującym, że staruszek za stołem sędziowskim oniemiał. To podnosił się, to siadał, to spoglądał wzrokiem pytającym na ławników. A na sali tymczasem zawrzało, jak w ulu. Znajomi i nieznajomi wymieniali zdania i okrzyki. Koledzy Dziutki zasypywali tancerkę pytaniami. Zdumiona jednak i oszołomiona nie znajdowała słów odpowiedzi.

Tylko woźny sądowy nie tracił spokoju urzędowego.

— Uciszyć się! — zagrzmiął groźnie i znów uciszyła się sala.

Wreszcie sędzia przyszedł nieco do siebie, potarł łysinę, poprawił okularów i rzekł głosem drżącym:

— Dla sprawdzenia tożsamości osoby oskarżonego, odraczam sprawę na dni czternaście.

Bohusz skłonił się i ruszył ku wyjściu, szukając wzrokiem Dziutki, a publiczność, utworzywszy wzdłuż sali szpaler, spoglądała na wychodzącego oczami osłupiałemu

— Słuchaj, Jasiu—rzekła Dziutka, gdy siadali do samochodu, czekającego przed sądem—czy to prawda, czy też kpiny ze starego?

— Najprawdziwsza prawda! — odparł wesoło.

— Więc i mnie mógłbyś odmłodzić, gdybym się postarzała?

— Mógłbym.

— Ah, jak to dobrze! Bo, wiesz, mnie się zdawało, że już się starzeję. Doprawdy!

— Ah, wiosno, wiosno! Tobie daleko nawet jeszcze do lata!

— -

Bohusz kończył obiad, gdy rozległ się dzwonek w przedpokoju.

Marta, teraz z kwiatkiem we włosach i w gorsecie, pobiegła otworzyć.

— Pan sędzia Trzaska! — zaanonsowała.

Bohusz nie przypominał sobie, aby miał znajomości wśród sędziów, ale wyszedł do gościa. Znalazłszy się w pracowni, zastał tam, rozglądającego się ciekawie dokoła, starego tetryka, przed którym stawał tego samego poranka w roli oskarżonego. Zdziwiony, powitał przybyłego.

— Czem mogę służyć panu sędziemu?

Sędzia odchrząknął w dłoń i pogładził siwe wąsy.

— Tak mnie zaintrygowały—rzekł wreszcie drżącym, starczym głosem, siadając na wskazanym fotelu — słowa pana profesora podczas rozprawy dzisiejszej, że nie mogłem oprzeć się chęci...

— Sprawdzenia — przerwał wesoło Bohusz — czy istotnie jestem siedemdziesięciodwuletnim profesorem Bohuszem, autorem dzieła „O nowych badaniach nad białymi ciałkami krwi” i wreszcie wynalazcą sposobu leczenia starości?

— Tak jest—zaśmiał się staruszek zakłopotany.— Tak jest, przyznaję, boć to przecież rzecz niebywała ze starca zrobić młodego.

— Oto moje dzieła — mówił dalej Bohusz, wskazując na książki w bibliotece, — a oto moje fotografie. Może pan sędzia pozna w nich mnie z przed lat

czterdziestu i z dnia dzisiejszego.

Sędzia ujął podane fotografie i przeglądał je z zaciekawieniem, podsuwając blisko do okularów.

- - -

— Tak jest, tak jest! — zawołał wreszcie, przyglądając się jednej z fotografii dłużej, niż innym.—To pan, tylko w staromodnym ubraniu!

— Takie wówczas noszono.

— Pamiętam, pamiętam! — westchnął starzec. — I ja mam taką samą z czasów młodości.

— Czy potrzeba panu innych dowodów? Może zawołać służące i służącego?

— Nie, nie! — odparł zapytany protestująco.—To mi wystarczy, — tu wstrząsnął fotografią, trzymaną w ręce. — A zresztą sam już sprawdziłem w księdze adresowej, że innego profesora Bohusza niema w mieście. Bohusz uśmiechnął się na to wyznanie.

— I powiada pan profesor — zwrócił się nagle staruszek do Bohusza — że mógłby człowieka odmłodzić?

— Oczywiście.

— I byłby pan profesor gotów spełnić obietnicę, daną dziś w sądzie?

Teraz dopiero Bohusz przypomniał sobie wyzwanie, rzucone pod wpływem uniesienia sądowi i zrozumiał prawdziwy cel wizyty sędziego.

Ten starzec również marzył o młodości tak, jak on jeszcze niedawno. A nuż—pomyślał zapewne—ten Bohusz mówił prawdę w sądzie? A nuż, istotnie, możliwą stała się rzecz niemożliwa? Zadygotało mu serce na tę myśl i pospieszył tu, by sprawdzić, czy to nie

złuda, czy rzeczywiście mogłaby wrócić jeszcze młodość, tak dawno minioną?

— Gotów jestem — odparł Bohusz głosem spokojnym, choć oczy uśmiechały mu się na widok mie-

niącej się pod wpływem niepokoju i nadziei twarzy sędziego — spełnić obietnicę daną. Słowa nie cofam.

— Więc i ja — spytał starzec, a biała broda trzęsła mu się ze wzruszenia — mógłbym być jeszcze młody?

— Na sobie samym doświadczyłem, że jest to możliwe. I ja byłem taki, jak pan.

Stary zerwał się z fotela.

— A zatem, panie profesorze, proszę o to lekarstwo. Dziś, zaraz, rozpoczynam kurację!

— Muszę pana uprzedzić, że nie jest to żadna mikstura lub pigułki, lecz wyciąg, który musiałbym panu zastrzykiwać, a ostrzegam, że zastrzyknięcie to jest bardzo bolesne.

Sędzia zasepił się i podrapał w brodę. Nagle jednak machnął ręką ruchem stanowczym.

— Pal diabli! Raz kozie śmierć! Niech profesor zastrzykuje!

Bohusz nie mógł powstrzymać się od śmiechu na ten widok.

— A więc dobrze. Muszę słowa dotrzymać. Niech się sędzia rozbiera.

— Gdy ból nieco minie — dodał, wracając z laboratorium ze szprycą, eterem, watą i wyciągiem — proszę natychmiast sięść do samochodu, jechać do domu i położyć się do łóżka, nastąpi bowiem gorączka,

a po niej przyjdą poty i sen. Jutro zaś rano zatelefonuje mi pan o skutku.

Drżącymi, chudymi palcami sędziego rozpinał kamizelkę. Perełki potu wystąpiły mu na łysinie, a usta drgały nerwowo.

Nagle zwrócił się do Bohusza i wybuchnął:

— Co też moja stara powie na to? Chyba i ja będzie musiał profesor odmłodzić, bo mi oczy wydrapie!

Nazajutrz wynalazca eliksiru młodości ubierał się jeszcze, gdy rozległ się dzwonek telefonu.

— Halo, kto tam?

— Profesor Bohusz? — odezwał się głos przytłumiony.

— Tak.

— To ja, Trzaska.

— Ah, sędzial Jakże się pan czuje?

— Wspaniale, cudotwórco! Wspaniale! Ten wynalazek, to cud prawdziwy. Wszystko było tak, jak profesor zapowiedział. Gorączka, poty, sen. Żona się przeraziła. Chciała posyłać po doktora, ale nie pozwoliłem. A dziś, profesorze, nie do wiary — już jestem młody! Żona powiada, że się chyba upił we śnie i jeszcze nie wytrzeźwiałem. Dzisiaj przylecę do profesora.

— Dzisiaj nie. Jutro. Nie można zbyt forsownie.

— Powiada profesor, że nie można? Ha, trudno.

Poczekam do jutra, ale jutro na pewno. Dobrze? O tej samej godzinie, profesorze kochany! Wdzięczność moja niema granic. Do widzenia, mistrzu. Do jutra!

— Do widzenia!

Bohusz położył, uśmiechając się, słuchawkę telefonu, gdyż wyobrażał sobie przemianę, odbywającą się pod wpływem eliksiru młodości w stetryczalym starcu.

— Nie ulega wątpliwości — rzekł, zapalając papierosa — że wymiar sprawiedliwości będzie dziś łaskawy.

Wiadomość o wczorajszym zajściu w sądzie doszła też do prasy, nie przywiązywano jednak do niej wagi. Odzyskanie młodości wydawało się powszechnie tak niemożliwe, że słowa Bohusza zlekceważono zupełnie.

— Warjat! — orzekli redaktorowie i przeszli do porządku dziennego.

Dzięki temu Bohusz uniknął jeszcze rozgłosu i mógł poświęcać czas swej Dziutce, zabawom i dokonywaniu cudu nad sędzią.

Bo istotnie, i tu eliksir młodości spełnił zadanie swoje ze' ścisłością matematyczną. Bohusz widział wznawiające się, jeden po drugim, te same objawy, które stwierdził na swojej osobie. I ten pierwszy pacjent młodniał w oczach jego, prostował się, mężniał, pełnił, patrzył na świat z fantazją i radością.

— Żona moja — mawiał — krewni i znajomi spoglądają na mnie zdumieni, bo widzą, że młodnieję i odzyskuję siły, ale nie chce im się to pomieścić w głowie. Raz nawet sprowadzili doktora, aby mnie zbadał. Poczciwe doktorzysko, leczące mnie chyba już lat ze dwadzieścia, przyszło niby w odwiedziny, choć

domyśliłem się odrazu, że go sprowadzono. Trzeba było widzieć, profesorze, minę zacnego eskulapa, gdy wyskoczył do niego rażno z powitaniem, gdy ujrzał oczy me bez okularów i włosy, pokrywające mi ły-

sinę! Powiadam profesorowi, zdębiał, potem wziął mnie za puls, posłuchał serca, zadumał się, potarł czoło i rzecze:

— To chyba te ostatnie moje proszki! — bo dał mi ze trzy tygodnie temu jakieś nowe proszki na wzmocnienie. Może sobie profesor wyobrazić, co za wziętość będą miały te jego proszki u rodziny mojej i znajomych, gdyż nie chciałem wyprowadzić starego z błędu, trzymając do czasu cudowny wynalazek profesora w tajemnicy, aby zapewnić mu triumf tem większy. Bo że triumf — dodał, wznosząc z uniesieniem ręce do góry — będzie niesłychany, tego jestem pewien, mistrzu, cudotwórco!

A triumfu tego Bohusz potrzebował choćby już ze względów materialnych. Rozpierało go wprawdzie uczucie dumy na widok rezultatów osiągniętych, o których bezowocnie marzyli przed nim magowie, czarno-księżnicy, alchemicy i uczeni wszystkich czasów. Ale uczucie to nie było już tem, którego byłby zapewne doznawał, gdyby sam był pozostał sędziwym, poważnym uczonym. Wówczas bowiem starczyłaby mu sława naukowa i oddałby bezinteresownie odkrycie swoje na usługi ludzkości, dzieląc się niem skwapliwie z uczonymi świata w pismach naukowych.

Dziś młodość i pragnienie życia zmieniły jego poglądy. Dziś widział sławę pod postacią olśniewa-

jącego światła, z którego spływały na niego nie tylko jasne promienie uznania i triumfu, ale także potoki złota, pozwalającego użyć tej radości życia, jaką odczuwał w każdym nerwie, w każdej tkance odmłodzonego organizmu.

- —

Posiadany dotychczas kapitał, dzięki któremu nie potrzebował zajmować się praktyką lekarską, wystarczał mu na umiłowane prace naukowe, życie ciche i odosobnione. Wówczas jednak był już starcem — właściwie młodym nigdy nie był — o wymaganiach skromnych, a jeżeli marzył o odzyskaniu młodości i pracował nad tem, to przedewszystkiem z tej potrzeby niepohamowanej umysłów wybitnych uchylania rąbka zagadnień bytu, a następnie w nadziei, że, połączywszy doświadczenie, przez wiek nabyte, z siłami młodości, zdoła dokonać rzeczy niebotycznych. Tymczasem dowiódł mimowoli właśnie na sobie, że jedno z drugim nie chadza w parze.

Z tą drugą młodością, krewką i bujną, przyszła lekkomyślność przy zupełnem zapomnieniu doświadczeń nabytych. Używał życia w pełnem znaczeniu tego wyrazu, a sama już Dziutka, to prześliczne stworzenie, w którym zadurzył się, jak prawdziwy młodzik, kosztowała go okropnie drogo. Przez drobne, atłasowe jej łapki pieniądź prześlizgiwał się z zadziwiającą szybkością. Rachunki krawcowych, jubilerów, fryzjerów i t. d. wynosiły sumy, o jakich nie miał przedtem pojęcia. Z czarującym uśmiechem rozbawionego dziecka wypróżniała mu pugilares i łasząc się ruchami miękkimi kotki, powtarzała, szczerząc zębki perłowe:

— Kto, jak mój pan Jaś, potrafi przywracać młodość, ten może mieć pieniędzy, jak lodu. Bohusz czuł istotnie, zwłaszcza w chwili wyników osiągniętych na osobie sędziego Trzaski, że odkrycie dokonane może przynieść mu dochody ogromne, lecz obawiał się jeszcze utraty tego dolce far niente, z któ-

rego wyrwałby go nieodzownie zbyt wielki rozgłos, a które odczuwał teraz tak rozkosznie.

Krępowała go poza tem myśl reklamowania eliksiru młodości, choć czuł, że nadchodzi kres fatalny wyczerpania ostatnich zasobów.

W takiej to chwili zastanowienia, gdy zapłacił rachunek za kupiony Dziutce samochód i zgodził dla niej szofera, nadszedł drugi termin sprawy jego z artystą kabaretowym, Iksem.

Sala sądowa była, oczywiście, przepelniona, cały bowiem światek kabaretowy chciał poznać tego przyjaciela Dziutki, wyrzucającego dla niej garściami pieniądze, a o którym krążyć już zaczynały najrozmaitsze legendy.

Wszyscy też pragnęli przekonać się naocznie, co to za osobistość: oszust, szaleniec, czy też rzeczywiście wynalazca genialny?

Dzisiaj wszelako bodajże większe jeszcze wrażenie, niż osoba Bohusza, wywołał sędzia Trzaska, gdy zasiadł za stołem sędziowskim.

— On, czy nie on? — pytano.

Przed czternastu bowiem dniami zasiadał tam starzec, trzęsący się i zgarbiony, opryskliwy i stetryczały.

A dziś?

Wprawdzie rysy pozostały te same i na wusach znać jeszcze siwiznę, ale łysina znikła pod jeżącym się już włosiem ciemnym, oczy nabrały blasku i życia, a z białek poznikały żyłki krwawe. Cała postać wyprostowała się i zmężniała, usta zwarły się i zarysowały

uśmiechem wesołym. Na domiar wszystkiego, sędzia odrzucił niepotrzebne okulary i zgolił brodę.

Słusznie tedy ci, którzy nie widzieli go od dwu tygodni, pytali zdumieni: On, czy nie on? Sędzia widział ten wyraz zdumienia w oczach w siebie utkwionych i bawiło go to, i sprawiało zadowolenie ogromne. To też, nucąc z cicha pod nosem, przeglądał niby akty, rozłożone na stole i zagadywał ławników, którzy przywykli już byli nieco do tej przemiany, uwidoczniającej się z dniem każdym coraz wyraźniej, w istocie jednak co chwila wejrzenie jego wesołe padało ukradkiem na przepelnioną salę.

Po zwykłych formalnościach, weszła na stół sprawa Bohusza. Na dźwięk tego nazwiska wszyscy wyciągnęli szyje i nadstawili uszu.

Dorodna postać oskarżonego stanęła przed stołem sędziowskim.

Sędzia skinął głową uprzejmie i wskazał Bohuszowi krzesło, poczem odchrząknął i rzekł głosem donośnym, zupełnie niepodobnym do tego głosu skrzeczącego, starczego, który przedtem wydobywał mu się z gardła, ilekroć chciał głośniejsz przemówić:

— Przed dwoma tygodniami sąd odłożył sprawę niniejszą w celu stwierdzenia tożsamości osoby oskar-

zonego, wobec niewiarogodnych, jak się nam wyda-
wało, zeznań jego, co do wieku. Obecnie, gdy przy-
padł mi w udziale zaszczyt osobistego zapoznania się
z szanownym profesorem — tu sędzia uniósł się na
krześle i skłonił głowę w stronę Bohusza — zbadalem
wszystko na miejscu i oświadczam, że oskarżony jest
istotnie słynnym fizjologiem, profesorem Janem Bohu-

- —

szem, a że młodzieńczy wygląd jego nie zgadza się
z wiekiem podanym, to z tej przyczyny, iż szanowny
profesor — tu znów ukłon w stronę Bohusza — do-
konał niesłychanego w dziejach ludzkości odkrycia,
mianowicie, wynalazł sposób leczenia starości i przy-
wracania ludziom wieku młodego, co przedewszystkiem
sam na sobie stwierdził.

— Ah, ah! — zawołało mimowoli kilka pań star-
szych, usłyszawszy tę nowinę sensacyjną. Cała sala
zawrzała szmerem podziwu i ruszyła z miejsca, wszyscy
bowiem obecni, jak na dany rozkaz, powstali z miejsc
i cisnęli się ku przepierzeniu, aby przypatrzeć się bliżej
nadzwyczajnemu człowiekowi.

Tylko woźny sądowy nie stracił poczucia god-
ności sądu, choć i on spoglądał teraz z podziwem na
Bohusza, widocznie zażenowanego tą niespodziewaną
owacją.

— Uciszyć się! — zawołał głosem stentorowym.
Sala ucichła, a sędzia zwrócił się uprzejmie do
Bohusza.

— Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Bohusz powstał z miejsca.

— Najzupełniej! — odparł.

— Wobec tego — mówił dalej sędzia — badanie świadków jest zbyt ciężkie. Czy może szanowny profesor przytoczyć co na swe usprawiedliwienie?

— Był to, panie sędzio, wybryk, nad którym mocno ubolewam.

— Oczywiście, wybryk młodości — dodał sędzia usprawiedliwiająco.

- —

Bohusz zagryzł wargi, bo właśnie tego wyrazu, „młodości” nie mógł wykrztusić wobec tylu oczu, zwróconych na siebie.

Młodzieniec siedemdziesięcioletni! — brzmiało to jeszcze zbyt paradoksalnie i rzeczywiście tu i owdzie rozległy się na sali śmiechy przytłumione.

Gdy jednak sędzia znów otworzył usta, uciszyło się wszystko.

— Sądzę — mówił — że wobec tego nie będzie przeszkód dla polubownego załatwienia sprawy. Czy skarżący uznaje za wystarczające wyrazy ubolewania ze strony profesora?

Skarżący, oszołomiony jeszcze tem wszystkim, co usłyszał, stał, nie wiedząc co odpowiedzieć. W głowie, mu się mąciło. Myśli prześcigały jedna drugą. Zawziętość gdzieś znikła. Prawda, otrzymał szcztka w nos. Ale od kogo? Przed miesiącem był to dla niego jakiś tam Bohusz, a dziś — profesor, uczony, którego sława rozbrzmiewać będzie po świecie tak, jak nie wielu śmiertelników. Dostać szcztka w nos od Napoleona I-gol Czy śmiałyby człowiek obrazić się o to? A sława profesora Bohusza może stanie się jeszcze głośniejsza, niż Bonapartego! Nie, to głupstwo!

Dziś on, piosenkarz z „Białego szczura”, będzie sam sławny przez to zajście. Każdemu może śmiało powiedzieć, że miał stosunki osobiste ze słynnym profesorem Bohuszem!

— No, jakże, panie Iks? — nalegał sędzia, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

Iks spoglądał nieśmiało na przeciwnika, ale Bohusz podchodził już do niego z wyciągniętą ręką.

- Przepraszam! — rzekł wesoło.

Piosenkarz pochwycił szybko dłoń wyciągniętą i kłaniał się, szastając nogami po podłodze.

— Bardzo mi przyjemnie, bardzo mi przyjemnie! — powtarzał dobrodusznie.

Sędzia zatarł ręce i obwieścił:

— Sprawa umorzona. Posiedzenie sądu jest zamknięte!

Zdziwiło to mocno ławników i adwokatów, czekających na swą kolej.

Ale odmłodzony sędzia nie wiele sobie z tego robił. Zebrał ze stołu akta i powstał, a widząc Bohusza, zmierzającego ku spieszącej na jego spotkanie Dziutce, dał znak woźnemu, aby zatrzymał wychodzącego.

— Tędy, panie profesorze, tędy! I pani — dodał, kłaniając się szarmancko przed rozpromienioną, szleszczącą jedwabiami Dziutką. — Wyprowadzę was tylnym wyjściem, bo tam — tu wskazał głową na tłum, tłoczący się w sali — jeszcze was poduszają!

Gdy zaś Dziutka ruszyła przodem, nachylił się do ucha Bohuszowi i szepnął:

— Mistrzu kochany, wiem, że będziesz teraz miał klientów bez liku, a jednak musisz spełnić jeszcze, jedną prośbę moją: musisz odmłodzić mi także żonę, bo dziś- — tu wskazał palcem na zręcznie zaklejoną papierkiem angielskim niewielką szramę pod okiem — miałem wściekłą scenę zazdrości.

Bohusz omal nie parsknął śmiechem.

— Dobrze, dobrze — rzekł, ściskając rękę nie-szczęśliwego małżonka.

Na ulicy z trudnością przecisnął się Bohusz z Dziutką przez tłum gapiów ku czekającemu samochodowi. Sędzia pośpieszył podać rękę wsiadającej do samochodu Dziutce, spoglądając przytem wzrokiem birbanta na zgrabne jej nóżki, poczem, nałożywszy cylinder nieco na bakier, ruszył krokiem lekkim, wesoły i rozmarzony, wywijając laską i nucąc pod nosem:
W lasku Idy trzy boginie
Spór zacięty wio-o-dły raz...
Przypomniały mu się czasy zarania pierwszej młodości!

III

UCIECZKA.

Bomba wybuchła!

Już nie ulegało wątpliwości, że Bohusz jest istotnie tym, za którego podał się przed dwoma tygodniami i że dokonał odkrycia niesłychanego. Zresztą i wszyscy ci, którzy obecni byli na posiedzeniu sądo-

wem dnia tego, a znali sędziego Trzaskę i nie mogli wyjść z podziwu nad zmianą, jaka w nim zaszła, domyślili się teraz z własnych słów sędziego, że i on poddał się niebywalej kuracji i odzyskuje młodość. Powód jeszcze jeden, aby rozbiec się po mieście i roznieść znajomym i nieznanym wieść tak osobliwą i sensacyjną.

Pod wieczór rozprawiano już o niej po wszystkich kawiarniach, teatrach i kabaretach, a przechodząc z ust do ust, wiadomość przybierała, jak zwykle, rozmiary cudaczne. To opowiadano, że profesor odkrył odwieczną receptę kabalistyczną, to znów, że — przyrząd elektryczny, odmładzający w ciągu jednej nocy, że sędzia w ten właśnie sposób odzyskał siły młodzieńcze i t. d.

Oczywiście, nowina sensacyjna dotarła także do prasy. Tym razem nie śmiano powtórzyć zdania

— -

lekceważącego o Bohuszu i przejść nad sprawą do porządku dziennego. W redakcjach zawrzało.

Zaledwie parę godzin minęło, a już Marta anonsowała Bohuszowi:

— Jakiś pan z „Kurjera”.

Bohusz domyślił się o co chodzi, ale obawiał się dziennikarzy. Z jednej strony pragnął rozgłosu, gdyż widział w nim drogę do triumfu, zwłaszcza materialnego, którego potrzebował, z drugiej wszakże — odczuwał instynktownie, że rozgłoszenie przez prasę wiadomości tak sensacyjnej poruszy całe miasto, ba, cały świat, on zaś, rozkoszując się dotychczas w całej pełni odzyskaną młodością, czuł wstręt wprost nie-

przewyciężony do wysiłku umysłowego, do kombinowania sposobów wyzyskania swego odkrycia i pozabawienia się wolności osobistej. Liczył, że może uda mu się wyjść z tej sytuacji inaczej. Pragnął odwlec tę chwilę decydującą. Zimne doświadczenie i wyrachowanie pierzchnęło mu zupełnie z głowy.

— Powiedz, że niema mnie w domu! — szepnął.

Marta spełniła polecenie, po chwili wszakże znów rozległ się dzwonek w przedpokoju.

— Jacyś panowie z „Telegrafu” i „Wiadomości”.

— Powiedz, że wyjechałem i nie będę dziś w domu! — zawołał zniecierpliwiony.

To też, gdy po raz trzeci i czwarty zadzwoniono, Marta już przez uchylone tylko drzwi odpowiadała, że profesor wyjechał.

Nie znał jednak profesor podstępów i pomysłów dziennikarzy, gdy chodzi o zdobycie wiadomości ciekawej!

Po południu, zadowolony, że tak łatwo pozbył się natrętnych reporterów i mógł spokojnie spożyć obiad, Bohusz wychodził wesoły i wyświeżony z domu, gdy w samym progu, omal że nie uderzył się o młodzieńca, śpieszącego z listem w ręce.

Młodzieniec odskoczył szybko na chodnik ulicy, przepuszczając Bohusza, uchylił kapelusza i przepraszając za starcie, spytał, podając list:

— Czy profesor Bohusz?

— Tak jest — odparł zapytany, nie mogąc zaprzeczyć i poznając na kopercie pismo Dziutki, do której właśnie się wybierał.

— Śpieszyłem z listem do pana profesora —
usprawiedliwiał się młodzieniec.

Bohusz otworzył szybko kopertę.

„Kochany, bardzo kochany Jasiu! — pisała Dziutka. — Polecam ci gorąco młodzieńca, którego babka, dowiedziawszy się o twem niesłychanem odkryciu, prosi cię o to lekarstwo ogromnie i gotowa jest zapłacić wiele zażadasz. Zrób, jak uważasz i przychodź, bo czekam i całuję po tysiąc, tysiąc razy”.

— Proszę powiedzieć babce — rzekł Bohusz, chowając list do kieszeni — że lekarstwa, o którym mowa, nie sprzedaję.

— Przepraszam pana profesora—nalegał jeszcze, nie ruszając się z miejsca, młodzieniec — ale babka poleciła mi spytać się jeszcze profesora, czy to prawda, że pan profesor—tu młodzieniec zaciął się, jakby żenowany — ma siedemdziesiąt dwa lata?

— Prawda — odparł zapytany z uśmiechem na ustach, zabawiło go bowiem pytanie młodzieńca

- -

i, ukłoniwszy się pytającemu, pośpieszył do samochodu.

Gdyby nie ten pośpiech, to spostrzegłby może w oddaleniu kilku kroków, na chodniku, drugiego młodzieńca, jak naciskał kilkakrotnie gumową gruszkę migawkowego aparatu fotograficznego.

Nazajutrz „Telegraf” miał pokup. niebywały. Maszyny jego rotacyjne warczały bez końca, nie mogąc nastarczyć egzemplarzy walczącemu o nie tłumowi sprzedawców dzienników.

I nie dziw! Na pierwszej stronie dziennika widniał

tytuł ogromny:

„Niema już starości!”

Poniżej zaś, mniejszemi głoskami:

„Niesłychane odkrycie naszego rodaka. — Prof.

Jan Bohusz.—Ujawnienie odkrycia.—Sensacyjne zaj-
ście w sądzie”.

Tu dopiero reporter „Telegrafu” pokazał, co po-
trafi: Z kilku wyrazów, zamienionych z profesorem na
ulicy, z artykułiku w encyklopedji, zawierającego krót-
ki życiorys uczonego, tudzież z wywiadów z Dziutką,
Martą i piosenkarzem Iksem, do których także trafił,
wysnuł dwie stronice bitego druku, ożywione innemi
jeszcze subtytulikami, oraz ilustracjami z dawnych fo-
tografji i zdjęć migawkowych, jak: „Prof. Bohusz przed
dwoma miesiącami”; „Nasz sprawozdawca rozmawia
z prof. Bohuszem”; „Prof. Bohusz wsiada do samo-
chodu”; „Dom prof. Bohusza”.

Cóż dziwnego, że ten numer „Telegrafu” wry-
wano sobie z rąk, że czytano go na rogach ulic, w biu-
rach, urzędach, fabrykach, zapominając o pracy i obo-

- -

wiązkach; że kawa stygła na stołach, zastawionych
śniadaniem, a panie domu rozprawiały o wielkiej no-
winie w jadalniach, służba zaś w kuchniach i na scho-
dach?

Naczelny redaktor poważnych „Wiadomości” nie
zdążył jeszcze powstać z łóżka, gdy do sypialni jego
wpadł wydawca „Wiadomości” z numerem „Telegrafu”
w ręce i, nie przywitawszy się nawet, zawołał potrzą-
sając dziennikiem:

— Skandal, redaktorze, znów skandal! I to spra-

wa tak sensacyjna! Teraz to już nie wiem, jak wybrniemy!

Redaktor zerwał się na równe nogi, ale, przerzuciwszy „Telegraf” wzrokiem, rzekł spokojnie:

— Myśmy już wczoraj o tern wiedzieli.

— Masz tobie, jeszcze lepiej! Dlaczego więc niema tego w „Wiadomościach”? Dopiero z „Telegrafu”, jak zwykle, publiczność musi się dowiadywać o takiej sensacji!

— My nie możemy — oburzył się redaktor — narażać się na tanie i łatwe sensacje, tembardziej, gdy rzecz nie jest jeszcze sprawdzona! A zresztą — dodał lekceważąco, przeglądając artykuł o Bohuszu i uderzając wierzchem ręki o papier — cóż to jest właściwie? Artykułik przepisany z encyklopedji, kilka słów, zamienionych z profesorem, kilka nietęgich ilustracji, a my przecież ilustracji nie podajemy, no i trochę plotek...

— W każdym razie — wyjąkał wydawca, lecz głosem już trochę niepewnym — sensacja pierwszorzędna i „Wiadomości” znów się spóźniły.

— Ech, niema nic straconego!

- - -

Pomimo jednak uspokojenia wydawcy, kierownik „Wiadomości” ubrał się szybko i wybiegł z domu bez śniadania.

W redakcji panowała cisza poranna. Tylko z ulicy dolatywała wrzawa chłopców, sprzedających „Telegraf”.

— Jak zwykle, jak zwykle! — rzekł zirytowany, otwierając drzwi sali redakcyjnej. — Współpracownicy spóźniają się, cóż więc dziwnego, że i „Wiadomości” muszą się opóźnić?

Nagle spostrzegł w kącie, pod oknem, posiwiąłego redaktora działu politycznego. Mąż ten, obojętny na małości życiowe, zagłębiał się już najspokojniej w stosie dzienników zagranicznych, aby podać czytelnikom „Wiadomości” zwykłą dawkę codzienną wielkiej polityki międzynarodowej i depesz.

— Ah, przynajmniej pana zastaje! — zawołał. — Taka sensacja w mieście, a tu nikogo?

— Dzień dobry redaktorowi—odparł polityk, nie zważając, jako statysta, dumający o losach świata, na to „nikogo” i, podniósłszy się od stołu, zbliżył się do wzburzonego zwierzchnika.

— Co się stało? — spytał.

— Jak to, nie czytał pan „Telegrafu”?

— Owszem, przeglądałem. Jest tam dość ciekawych artykułów o tym Bohuszu.

Polityk „Wiadomości”, będąc konserwatystą, nie uznawał z zasady, aby w radykalnym „Telegrafie” mogło być coś istotnie ciekawego.

— O to właśnie chodzi, o to chodzi! — zawołał naczelny redaktor. — Niech pan rzuca wszystko, bierze

- -

samochód na koszt wydawnictwa i pędzi do profesora Bohusza.

— Ja? — spytał zaniepokojony polityk, którego myśl pochłonięta była całkiem w tej chwili nowym zatargiem księstw Lichtensteinu i Monaco.—A przegląd polityczny, panie redaktorze, a depesze?

— Wszystko jedno! To się za pana robi. A dziś po południu musi być w „Wiadomościach” interview z profesorem Bohuszem. Może pan zastanie jeszcze

w domu profesora. Ale niema chwili do stracenia, bo musimy wyjść z pod prasy wcześniej, niż zwykle, a tu nikogo niema! — dodał raz jeszcze, spoglądając z rozpaczą po pustej sali.

— Ha, trudna rada — westchnął strapiony polityk — skoro periculum in mora, to jadę!

Gdy samochód wjechał na ulicę, przy której znajdował się dom Bohusza, sprawozdawcę „Wiadomości” uderzył widok niezwykle: Po chodnikach dążyły w jedną stronę całe szeregi osób starszych, wśród których przeważały przedstawicielki płci niegdyś pięknej, krokiem tak szybkim, jakgdyby usiłowały prześcignąć się nawzajem. Podjechawszy zaś do wskazanego domu, dziennikarz ujrzał tam już sznur samochodów i powozów, a na chodniku zwarty tłum publiczności.

Stary redaktor działu politycznego „Wiadomości” miał szczęście. A może zresztą szczęście to przywiązane było do samych „Wiadomości”, dosyć, że w chwili, gdy szofer samochodu redakcyjnego utorował sobie miejsce przed domem w szeregu innych wehikułów okrzykami: „Władza jedzie!” — Bohusz prze-

ciskał się przez tłum w stronę chodnika, szukając rozpaczliwym wzrokiem wolnego pojazdu.

Dziennikarz poznał dorodną postać wynalazcy z portretu i opisu, podanego w „Telegrafie” i domyślił się, że zaskoczony zbiegowiskiem uczony pragnie po prostu uciec, wyskoczył więc z samochodu i zawołał:

— Panie profesorze, proszę, samochód wolny!

Bohusz skorzystał bez namysłu z zaproszenia nieznajomego. Dziennikarz skoczył za nim do pojazdu, zatrzasnął drzwiczki i przedstawivszy się, spytał:

— Dokąd pan profesor każe jechać?

Bohusz wskazał adres.

No i odbył się interview en regle.

Nie tylko wdzięczny za wybawienie z opresji i z tego powodu w dobrym humorze, ale także, czując potrzebę sprostowania bajek, spłodzonych przez nastrojoną sensacyjnie wyobraźnię młodzieńca z „Telegrafu”, ponadto zaś, widząc, że już losu swego nie uniknie — Bohusz udzielił wszelkich żądanych informacji uszczęśliwionemu dziennikarzowi, notującemu skwapliwie wszystko w karnecie.

Tym razem „Telegraf” miał powód do zazdrości na widok trzyszpaltowego, garmontowego interviewu ze słynnym wynalazcą.

Stary polityk „Wiadomości” wywiązał się doskonale z zadania. Spędziwszy jednak ćwierć wieku nad obrabianiem przeglądów i korespondencji politycznych, upstrzył feljeton wyrazami cudzoziemskimi, a zaczął go od słów:

- —

„Sprawozdawca waszego dziennika”, tak jakgdyby pisał z Londynu lub Paryża i omal że nie dodał:

„dowiada się ze sfer zbliżonych do rządu”. Interview kończył się przytem następującą wymianą zdań:

— A jaki—zapytał wasz sprawozdawca — będzie, zdaniem szanownego profesora, wpływ tego wielkiego odkrycia na sytuację polityczną świata?

— Na to już — zawołał profesor — odpowiedzieć

nie umiem!

„Sądzimy jednak — kończył autor feljetonu — że tylko wrodzona wielkim umysłem skromność powstrzymała czcigodnego profesora od odpowiedzi na nasze pytanie, zważywszy bowiem, że”...

Tu, wsiadłszy na ulubionego konika, palnął około stu wierszy o wpływie leczenia starości na politykę międzynarodową, a zwłaszcza na stosunek Europy środkowej do Związku mocarstw anglo - romańskich. Ponieważ jednak chodziło o to, aby „Wiadomości” zawierały jaknajwięcej materiału o Bohuszu, więc i te rozważania polityczne poszły do numeru, a nawet wywarły wielkie wrażenie wśród polityków kawiarnianych.

Naczelny redaktor „Wiadomości” mógł triumfować, bo nie tylko liczba sprzedanych egzemplarzy tego ich numeru dosięgła rozmiarów niebywałych, ale jeszcze interview, w nich umieszczony, roztelegrafowały tego samego wieczora różne agencje, tak, że następnego dnia ukazał się we wszystkich dziennikach świata, wywołując sensację ogromną.

Wprawdzie Bohusz przewidywał skutki swego odkrycia, nie przypuszczał jednak nigdy, aby mogło to stać się tak szybko i ujawnić w sposób tak gwałtowny. To też, gdyby go nawet nie była rozleniwiła młodość odzyskana i gdyby nawet posiadał tuzin asystentów, to jeszcze nie zdołałby dzisiaj zaspokoić rzesz, zgłaszających się po cudowne lekarstwo.

Dom jego był wprost oblegany. Nie pomogła interwencja policji miejskiej, nie pomogły głosy dzien-

ników, wzywające do oszczędzania wielkiego uczonego, „chluby narodu”, jak go już nazywano, nie pomógł nawet jego własny list otwarty do publiczności z oświadczeniem, że nie może zadosyćuczynić żądaniom napływającym. Teraz już i z prowincji napływali amatorzy odzyskania młodości i domagali się natarczywie leczenia, nie chcąc wracać z niczem do domu. Bohusz tracił głowę. Nie mógł już wcale wyjść z mieszkania, nie był nawet w możności przeglądać tych stosów depesz i listów, które nadchodziły codziennie, ani też spożyć spokojnie śniadania lub obiadu. Z początku udało mu się jeszcze wymknąć kilkakrotnie ukradkiem do Dziutki, lecz i to wkrótce zauważono, tak, że i u niej zaczął zastawać całe grona osób, które się tam wkręcały przy pomocy różnych protekcji, aby z nim choćby tylko pomówić, musiał więc w końcu zaniechać i tych odwiedzin.

Wreszcie, po tygodniu takich udręczeń, strzeliła mu do głowy myśl — ucieczki i sam się zdziwił, że wcześniej o tern wyjściu nie pomyślał.

Wszak tam, daleko, w cichym zakątku kraju, posiadał odziedziczony po ojcach kawałek gruntu, który

puścił w dzierżawę, a na nim dworek skromny, gdzie osadził był już dawno piastunkę swą, dziś staruszkę dziewięćdziesięcioletnią.

Do dworku tego dojeżdżał niekiedy dawnymi czasami dla wytchnienia lub gdy potrzebował ciszy i spokoju do pracy naukowej i tam bowiem urządził sobie niewielkie laboratorium i bibliotekę.

Myśl o tem zaciszu tak go uradowała, a pocią-

gający obraz spokoju, jakiego mógłby tam narazie zażywać, tak żywo stanął mu przed oczyma, że mimo-woli zawołał:

— Tam pojedę! — i zerwał się z krzesła, zaciera-
jąc ręce.

Marta, sprzątająca właśnie ze stołu, drgnęła, zdzi-
wiona, usłyszawszy ten okrzyk.

— O dla Boga! A gdzie to się pan profesor
znów wybiera?—spytała, chwytając się ręką za policzek.

— Cicho, sza! — szepnął. — Ani słówka nikomu
o tem, Marteczko kochana, rozumiesz? Przecież wi-
dzisz, co się tu dzieje! Postanowiłem więc wyjechać
dziś w nocy do mego dworku.

— A co ja nieszczęśliwa—krzyknęła przestraszo-
na — zrobię tu z całym tem mrowiskiem starowin?

— Powiesz im—odparł Bohusz wesoło, głaszcząc
ją po twarzy—że wyjechałem na koniec świata i tyle!
Zresztą sam o tem napiszę do gazet. A teraz sza, ani
słowa!

Udobruchana Marta skinęła potakująco głową.

— Ale też pan profesor narobił sobie z tą mło-
dością!

Machnął na to ręką i zabrał się z pośpiechem
gorączkowym do pakowania rzeczy.

Późną nocą, poleciewszy Marcie wysłać sobie
frachtem kufer zapakowany, wymknął się, z walizką
tylko w ręce, tylnymi drzwiami, wychodzącymi na
ciemny zaułek — gdyż przed frontowemi już się two-
rzył „ogonek” — i odetchnął dopiero wówczas, gdy
znalazł się na wygodnych poduszkach coupé pierwszej

klasy i uczuł, że pociąg rusza w dal ciemną.

* * *

Nazajutrz, pod wieczór, znalazł się Bohusz w swem ustroniu wiejskiem. Gdy wózek, wynajęty na stacji kolejowej, zajeżdżał pod ganek, na progu ukazała się siwiutka, jak gołąb, lecz czerstwa, staruszka i zasłaniając oczy przed czerwonymi promieniami zachodzącego słońca jesiennego, patrzyła na niespodziewanego gościa.

Bohusz wyskoczył z wózka, zapłacił woźnicy i podszedł ręczo do starej.

— Jak się macie, nianiu—tak ją bowiem zawsze nazywał—przyjechałem znów do was nieco odpocząć. Stara niania, nie odejmując rąk od oczu, spoglądała na mówiącego zdziwiona.

— Jak to — zawołał Bohusz, zapominając naraźcie o zmianie swej postaci — toć to ja, Bohusz! Stara, jakby przypominając sobie znane dźwięki, podeszła i wyciągnawszy szyję, przyjrzała się gościowi zbliska.

— Że też pan „prefesur” — zawołała nagle — nigdy mi nie mówił, że ma tak dorosłego syna!

Wyblakłe jej oczy uśmiechały się radośnie.

— A kubek w kubek ojciec — mówiła, kładąc mu wychudłą, żyłastą dłoń na ramieniu—kiedy to był młody jeszcze i piękny i wybierał się do tych tam akademji zagranicznych.

— Ależ, nianiu — przerwał, śmiejąc się Bohusz— to nie syn, to ten sam Jaś przed wami stoi, którego piastowaliście i nosiliście na rękach!

— Co też panicz mówi — zawołała urażona staruszka — przecież „prefesur” był już siwy, zgarbiony, prawie taki stary, jak ja.

— Był, był — odparł Bohusz wesoło — ale nie jest. Znów stał się młody i dziarski. Przydały się te akademje zagraniczne, do których jeździł, bo wynalazł lekarstwo na starość i sam się odmłodził. Macie, nianiu, przed sobą tego samego Jasia, który tu był w przeszłym roku i tam — tu wskazał na okno naróżne — ślęczał nad książkami i króliki szczepił i różne stworzenia, co was tak gniewało, tylko, że teraz ten Jaś jest znów o czterdzieści lat młodszy!

Stara słuchała uważnie, a w oczach jej wyblakłych malował się to wyraz podziwu, to niedowierzania.

— Jeżeli panicz ze starej niani nie żartuje — rzekła wreszcie głosem wahającym — to byłby cud, żeby człowieka ze starości wyleczyć i zrobić go znów młodym.

— Widzicie, nianiu, to nauka ten cud zrobiła.

Teraz można starość leczyć, jak inne choroby, a na dowód, to i was odmłodził

Staruszka rozłożyła szeroko ręce z oburzeniem.

— A mnie to na co, paniczu Jasiu! A mnie to na co?

— Jak to, na co? Więc nie chcecie być młodzi? Przecież to całe szczęście dla człowieka, gdy jest młody i zdrowy!

— A czy to ja nie byłam już młoda, paniczu?

A zdrować to i teraz jestem, dzięki Bogu. Grzech to paniczu chcieć całe życie być młodym. Boć Pan

Bóg już tak świat urządził, że człowiek i każde stworzenie inne musi wiek swój przeżyć, najpierw młody, potem stateczny, wreszcie, jeśli Bóg da — i stary, aby złożyć w grobie powłokę cielesną, a duszą stanąć przed Majestatem straszliwym. Jaki tam sąd wypadnie, to zależy od grzesznego życia ludzkiego. A cóżem ja komu zawiniła? Bogu i ludziom służyłam uczciwie, naharowałam się wiek cały bez szemrania, to też tak se myślę, że gdy chwili tej upragnionej doczekam i przed sądem Pana stanę, wówczas Jezuskowi i Najświętszej Paniencie kornie się skłonię, za boskie nóżki ułapię, to może zlitują się nademną i pozwolą mi po prawicy Swej trwać w młodości i szczęśliwości wiecznej. Na tom ci ja całe życie pracowała i harowała, o tom się ciągiem modliła, na co mi więc, paniczu, ta druga młodość z tego świata? Na co?

— Ah, Boże drogi — przerwała nagle — ja paniczowi — nie śmiała już nazywać Bohusza „prefesurem”, którego wyobrażała sobie tylko pod postacią siwowłosego starca — opowiadam o życiu przyszłym, a tu trzeba i kolację i pościel dla gościa przyrzadzić. Schwyciła walizkę i podreptała ku drzwiom, a Bohusz siadł na ławce w ganku.

Od proga jednak zawróciła i podeszła, zamyślona, do Bohusza.

— A może to i grzech — rzekła cicho — com ja tu mówiła? Boć jeżeli ci Bóg pozwolił, paniczu Jasiu, wynaleść takie lekarstwo na starość, to już widocznie taka jest wola Jego przenajświętsza. Niech ci więc — tu wyciągnęła dłoń szorstką i żyłastą i pogładziła nią

bujną czuprynę Bohusza — to lekarstwo twoje służy, niech ci da życie radosne, ale mnie ci ono niepotrzebne, bo moja dusza tęskni już do tej drugiej młodości wiecznej.

I poszła.

Jesienne, czerwone słońce schodziło za widnokrąg, rzucając długie, długie cienie. Od ziemi szedł chłód wilgotny. W powietrzu unosiła się ostra woń liści fermentujących i dymu z zagród chłopskich. A od czasu do czasu z klonów, stojących przy dworku, opadał liść jaskrawo żółty i, pokołysawszy się w powietrzu, kładł się bez szelestu na ziemi, — Szczęśliwa! — szepnął Bohusz, zapalając papierosa.

IV

KSIĘŻNA.

Już tydzień używał Bohusz spokoju. Zrywał się wcześniej z łóżka, witał wesoło ze starą nianią — której dotychczas jeszcze nie mogło pomieścić się w głowie, aby to był ten sam siwy, zadumany i ciągle zajęty uczony, przed którym chodziła na palcach — i wpadał do swego laboratorium. Przyjechał tu bowiem nie tylko dla wymknięcia się oblegającym go tłumom i dania czasu na uspokojenie się umysłem, podnieconym cudownym jego wynalazkiem, lecz także z zamiarem przygotowania choćby jakiego takiego zapasu eliksiru młodości. Praca ta jednak szła mu opornie. Przymuszała się do niej, nie mniej, zwykle już po paru godzinach spędzonych w laboratorium, gorąca krew młodości rwała go w świat. Zarzuciwszy więc strzelbę na ramię i gwizdnawszy na starego wyżła, poznającego

wprawdzie pana węchem, ale nie mogącego wyjść z podziwu, że na stare lata wyciągają go z legowiska pod piecem, szedł w pola i dąbrowy, a nieraz długo jeszcze z pośród drzew dolatywał głos jego donośny, wyśpiewujący piosenki ludowe.

Sąsiedzi jego, chłopci, znający od lat starego „pre-fesura”, wzięli także nowego przybysza za jego syna

— -

i tak samo, jak niania w pierwszej chwili, dziwowali się, że stary, którego uważali już za nieboszczyka, nigdy nie wspominał o nim. A choć staruszka usiłowała im wytłumaczyć, że to ten sam stary pan, którego poprzednio tu widywali, jeno że wynalazł lekarstwo na starość i sam się odmłodził, śmieli się z tego i wynalazca nasz pozostał dla nich młodym panem Bohuszem, a żadna siła ludzka nie byłaby zdolna wzruszyć tego ich przekonania. Zresztą i sam Bohusz nie usiłował wyprowadzić ich z błędu, rad, że tutaj przynajmniej jest zupełnie swobodny.

Pewnego jednak z tych pięknych dni jesiennych, kiedy to słońce przygrzewa, jak latem, a w powietrzu unoszą się srebrne pasma babiego lata, powracając uznojony, ale pełen zadowolenia młodzieńczego, z polowania z kilku kuropatwami, przytroczonemi do torby myśliwskiej, usłyszał bek trąbki samochodowej i ujrzał wielki, wytworny samochód, zakręcający przed dworek.

Zdziwiony, przyspieszył kroku i stanął we wrotach w chwili, gdy wygalonowany lokaj, otworzywszy drzwiczki samochodu, podawał rękę wysiadającej z pojazdu postaci niewieściej.

Ujrawszy podchodzącego, nieznajoma, okryta od stóp do głowy jedwabnym płaszczem podróżnym, podniosła do twarzy, osłoniętej zielonym, wielkim woalem, złotą lornetę na długiej ręczce i wycodziła przez zęby, patrząc wyniośle na Bohusza:

— Czy tu mieszka profesor Jan Bohusz?

— Ja nim jestem — odparł, zaskoczony temi słowy, uchylając kapelusza.

— -

Przez dłuższą chwilę pani w płaszczu przyglądała się, jakby z niedowierzaniem, przymrużonemi oczyma Bohuszowi, nie mówiąc ani słowa.

Zniecierpliwiony takim zachowaniem się nieznajomej, już chciał spytać z kim ma do czynienia, gdy wreszcie lornetka opadła, z pod płaszcza wyciągnęła się długa, chuda ręka w rękawiczce, a z pod woala padło, wycodzone dobitnie nazwisko:

— Basztańska.

I wówczas dopiero Bohusz przypomniał sobie, że tyle już razy przecież widywał od czasu pierwszej swej młodości tę, tak znaną w stolicy, wysoką, chudą, kościstą postać starej księżny Niny z Basztańskich Basztańskiej, której młodość chyba niewielu żyjących pamiętało, zawsze jednakowo wymalowaną i wykrygowaną, z poczernionemi brwiami i rzęsami i w złoto-blond peruce na głowie.

Widywano ją w teatrach i na zabawach sztywną, wyniosłą i śmieszłą, lśniącą od brylantów olbrzymich; widywano ją na ulicach i miejscach spacerowych w powozach o zaprzęgach wspaniałych, a ostatniemi czasy w samochodach zbytkownych. Kręciła się wszędzie

i bywała wszędzie, zabawna w tej nieposkromionej
chęci uchodzenia jeszcze za młodą. W kółku arysto-
kratycznym przyszłych jej spadkobierców nazywano ją
złośliwie Starą Basztą, bo jak taka baszta odwieczna,
której głązy spajano ołowiem, opierała się burzom
świata, doprowadzając do rozpaczki tych, którzy liczyli
na jej fortunę olbrzymią.

To wszystko przemknęło przez głowę Bohuszowi,
gdy usłyszał znane nazwisko.

— Czemu mam przypisać zaszczyt tych odwie-
dzin? — spytał, gdy znaleźli się w małym pokoju ba-
wialnym dworku i gdy księżna, oswobodzona z płaszcza i woala, zasiadła na podsuniętym sobie fotelu.

— Więc mam istotnie przyjemność — mówiła
głosem piskliwym, przyglądając się badawczo przez
lornetkę Bohuszowi — rozmawiać ze słynnym profesorem
Janem Bohuszem, wynalazcą eliksiru młodości,
o którym teraz rozpisują się tak obszernie gazety?
Bohusza znecierpliwiło już to badanie, odparł
więc sucho:

— Tak jest! Czem mogę służyć?

Księżna spostrzegła ten odruch niecierpliwości,
więc mizdrząc twarz starczą, ale wyróżzowaną i ubie-
loną misternie, dodała szybko:

— Proszę mi wybaczyć, profesorze, ale widzę
przed sobą cud, trudno zaś nie dziwić się cudowi.
Nie chce mi się wprost wierzyć, patrząc na pana, aby
prawdą było to, co w gazetach pisano o wieku
pańskim. Czy to możliwe?

— Że mam siedemdziesiąt dwa lata? — odparł,

śmiejąc się, Bohusz.

— Więc to istotnie prawda? — zawołała głosem drżącym ze wzruszenia, składając ręce.

— Najzupełniejsza.

— Nie dziwię się zatem wrzawie, wywołanej przez wynalazek pański. O niczem więcej i u nas i zagranicą teraz nie piszą. I biednego sędziego Trzaskę reporterzy na światło dzienne wywlekli. Podobno z tego powodu rozwodzi się, po trzydziestoletnim pożyciu z żoną. A dom pański wciąż w oblężeniu, bo ludzie

- —

wierzyć nie chcą, że pan wyjechał. No, i trzeba trafu, że pana odnalazłam!

Wszystko to trzepała szybko, głosem piskliwym, widocznie podniecona i uradowana, uderzając złotą rączką lornetki o suknię.

— I trzeba trafu, że ja pana odnalazłam, profesorze-sąsiedzie!

— Więc mam zaszczyt — zdołał nareszcie wtrącić Bohusz — być sąsiadem księżny?

— Właśnie. Trzeba trafu, że przed wyjazdem na Riviere przyszła mi chętka zajrzeć do mego majątku, zaledwie o milę odległego od pańskiej pustelni. Nie miałam nawet pojęcia, że profesor mieszka tak blisko, i może nigdybym się o tern nie dowiedziała, gdyby nie służba. Dopiero dziś zrana, przy toalecie, garderobiana moja, znosząca mi zwykle wszystkie ploteczki z sąsiedztwa, a któraż kobieta — tu zaśmiała się — ploteczek nie lubi? — wymieniła nazwisko pana. Podobno gajowy mój spotkał profesora wczoraj, czy onegdaj, ze strzelbą w ręce na gruntach Lasów.

— Istotnie — przypomniał sobie Bohusz — polując onegdaj na kuropatwy, zapędziłem się, nie wiedząc o tem, na grunta dworskie Lasów. Niebawem jednak natknąłem się na gajowego i zawróciłem, gdy mnie ostrzegł, że poluję na cudzym gruncie. Za przekroczenie to przepraszam.

— Ależ niema za col Dzięki właśnie tej omyłce dowiedziałam się o profesorze, a gajowy wspomniał o zajściu nie dlatego, żeby pana oskarżać, lecz z powodu drwin ludzi ze starej niani pańskiej. Ten pan Bohusz — mówił gajowy — musi być synem starego

- -

profesora, który tu przyjeżdżał prawie co roku na kilka miesięcy, ale stara Józefowa, co to profesora jeszcze na ręku nosiła i mieszka w dworku, opowiada, głupia, chłopom, że to nie syn profesora, lecz sam profesor,' który tak odmłodniał, bo wynalazł lekarstwo na starość!

Usłyszawszy to, garderobiana moja, pochłaniająca codziennie „Telegraf” od deski do deski i wiedząc stąd o zniknięciu pana z miasta, przybiegła zaraz do mnie z nowiną i oto jakim cudem jestem u profesora nie tylko z ciekawości, choć przyznam się, że ciekawa byłam poznać tak słynnego uczonego, ale także dla zasięgnięcia jego światłej rady.

— Służę księżnie — rzekł Bohusz, domyślając się już o co chodzi.

— Bo myślę sobie tak: Jeżeli lekarstwo profesora Bohusza jest odmładzające, to musi działać także wzmacniająco na nerwy. A ja jestem—tu przeszła nagle w ton omdlewający — tak strasznie zdenerwowana

i osłabiona, że gwałtownie potrzebuję kuracji wzmacniającej i uspokajającej. Czy wynalazek profesora może mi posłużyć w tym kierunku?

Bohusz uśmiechnął się pod wąsem. Zrozumiał, że stara kokietka raczej przyzna się do grzechu śmiertelnego, niż do starości i do tego, że pospieszyła tu, aby odzyskać młodość, odpowiedział jednak poważnie: — Wynalazek mój działa, co sprawdziłem przede wszystkim na sobie, wzmacniająco i odżywczo na cały organizm. Oczywiście zatem także na nerwy. Każda tkanka, każda komórka ulega jego wpływowi, odzyskując dawną moc, sprężystość, świeżość.

— Co za cudowny wynalazek! — szepnęła księżna, zasłuchana w słowa Bohusza. — Więc i mnie kuracja ta może posłużyć?

— Tak sędzę!

— A zatem musi się profesor zgodzić na to, że przywłaszczam sobie jego osobę, czuję bowiem w słowach jego prawdę i szczerłość, czuję, że będę wyleczona! Nie chcę słuchać żadnych wymówek, ani zastrzeżeń, które mogłyby mnie zniechęcić. Musi mnie profesor wyleczyć. Od jutra zaczynamy kurację. Jutro, o tym czasie, przysyłam po profesora mój samochód. A oto zadatek za leczenie.

Przy tych słowach otworzyła drżącymi rękoma złoty woreczek, wyjęła paczkę banknotów i położyła na stole, poczem podała szybko rękę Bohuszowi, uściśnęła dłoń jego mocno i mówiła dalej, nie pozwalając oszołomionemu dojść do słowa:

— Proszę przyjąć i nie protestować! — Bohusz

nie miał zgoła tego zamiaru. — Jeżeli kuracja się uda, potrafię być wdzięczną.

Rozgadana i rozpromieniona nadzieją, ruszyła wreszcie do samochodu, odprowadzana przez Bohusza. Jeszcze na zakręcie drogi skinęła mu głową, przyłożywszy lornetkę do oczu.

Na ganek wysunęła się stara niania i, stojąc za Bohuszem, przyglądała się także odjeżdżającemu samochodowi.

— Pewnikiem — odezwała się, kiwając głową — zachciało się jej młodości, że do panicza trafiła. Do „prefesura” — dodała, jednocząc już widocznie ten tytuł z pojęciem starości—to ani zajrzała.

— Zgadliście, nianiu — odparł wesoło Bohusz — mam starą odmłodzić.

— Że też ludziska—westchnęła staruszka—na tę młodość tacy łakomi! Czy nie byłoby to lepiej, żeby takie stare babsko myślało o zbawieniu duszy? Mało ci się to już życia naużywała?

*

* *

Następnego dnia zajechał przed dworek samochód księżny i rozpoczęła się kuracja. Elikسير młodości dowiódł i tym razem mocy cudownej. Księżna młodniała z dniem każdym, a Bohusz śledził z zainteresowaniem ogromnym przebieg odradzania się tej pierwszej kobiety, poddanej działaniu jego wynalazku. Ku zdumieniu wszystkich mieszkańców zamku leśnickiego, stary, zeschły i pożółkły liść odmładzał się i przybierał barwy wiosenne. Chuda, koścista

postać księżny pełniła i nabierała kształtów, a zeschła, żółta, jak pergamin, skóra jej miękła i wyrównywała się, nabierając cieplej, złocistej, o lekkim odcieniu różowym, barwy ciała brunetek, z pod niej zaś, jak na delikatnym marmurze kararyjskim, wyłaniała się zaledwie dostrzegalna sieć żyłek niebieskich. Starcze, zmrużone oczy powiększały się, wypełniając orbity i wreszcie odzyskały kształt dawny wielkich migdałów, rzucając dumne, aksamitne, pewne siebie spojrzenia kobiety rasowej. Zgrabną, okrągłą czaszkę okrył włos kruczy, a pokraśnione wargi zarysowały się łukiem wdzięcznym, choć, gdy zamknięte, tworzyły linię nieco za wazką i za prostą, zwiastującą upór i nawyk do rozkazywania.

Wobec wyników tak cudownych, służba zamkowa, nie mogąc pojąć tego zjawiska, uważała już powszechnie Bohusza za czarownika, usuwała mu się z drogi z szacunkiem ogromnym i usługiwała ze strachem, wprost zabobonnym.

— A nuż taki spojrzysz na człowieka złem okiem!

W końcu jednak dobry humor, przystępność, a zwłaszcza hojność, zjednały mu wszystkich i nie jeden ze starszego pokolenia mieszkańców zamku marzył już nawet sam o tem cudownem lekarstwie na starość.

Pewnego dnia, po czterech tygodniach kuracji, Bohusz zastał księżnę, zamyśloną, na kozetce w wielkim salonie zamkowym. Prawie naprzeciwko siedzącej wisiał na ścianie wspianały jej portret, pędzla jednego z największych artystów europejskich drugiej połowy

ubiegłego stulecia.

Przywitawszy się z księżną i rzuciwszy okiem na obraz, Bohusz spostrzegł nagle jak pacjentka jego stała się teraz podobna rażąco do tego portretu z przed pół wieku. To też, wskazując ręką na arcydzieło, zawołał wesoło:

— Taką widzę księżną dzisiaj przed sobą!

Księżna, obejmująca spojrzeniem dorodną postać wynalazcy, usłyszawszy ten okrzyk, drgnęła, przechyliła nieco w tył głowę i przymrużywszy oczy, wyciągnęła ku niemu długie, białe ręce.

— Myślałam — szeptała z wyrazem upojenia na twarzy — że to sen, nie śmiałam sobie wierzyć, bo i ja to zauważyłam. Teraz dopiero widzę, że nie śnię, że to rzeczywistość, że tobie — tu zatrzymała

się, jakgdyby wahając się użyć właściwego wyrazu — że tobie, profesorze, zawdzięczam ten cud nowego życia!

Bohusz nachylił się i ucałował ręce wyciągnięte, ale ręce te drżały mocno i przyciągały go ku sobie uściskiem gorącym, któremu poddać się musiał...

Prędko wszakże ochłonął i rzekł tonem żartobliwym.

— Chciałbym być obecny chwili, gdy cudna księżna z portretu stanie znów w salonach stolicy.

Księżna uśmiechnęła się lekko, wciąż jeszcze rozmarzona...

Nucąc wesoło, powrócił do dworku. Gdy jednak znalazł się w ciszy pracowni i, zasiadłszy w fotelu, zaczął rozmyślać przy papierosie o zajściu — objęło

go uczucie niesmaku i w końcu doszedł do wniosku, jak mu się zdawało, słusznego, że nie powinien był, ze względu na charakter lekarza, ulegać kapryswi książęcej pacjentki i że ona sama zapewne, teraz, gdy ochłonęła już z chwilowego uniesienia, kępować się będzie jego obecnością.

Pod wpływem takich skrupułów, nie pojechał nazajutrz do zamku. I trzeciego dnia znalazł pretekst do usprawiedliwienia swej nieobecności potrzebą udania się na pocztę, do miasteczka, po dzienniki i listy, nadsyłane mu regularnie przez Martę, choć dotychczas czynność tę załatwiał jego ogrodnik, wywiązując się z niej bez zarzutu.

W parę godzin po odjeździe Bohusza, przed gan-kiem dworku stanął samochód księżny. Rozpytawszy starą nianię o powód nieobecności profesora, księżna

oświadczyła, że zaczeka, mając pilny interes, tembardziej, że do miasteczka było tylko około dziesięciu kilometrów, profesor więc mógł już lada chwila powrócić.

Zasiadła tedy w saloniku, spoglądając niecierpliwie na zroszone okna, zaczynał bowiem padać drobny deszcz ze śniegiem, gdy nagle odezwała się trąbka i drugi samochód zajechał przed ganek. Księżna wiedziała, że Bohusz nie posiada samochodu, zaciękawiona więc pochyliła się na fotelu ku oknu, a w tejże chwili rozległ się szybki tupot kroków na ganku, otworzyły się drzwi balkonowe i do saloniku wpadła Dziutka.

— Czy tu mieszka — zaczęła głośno, ale ujrza-

szy w saloniku wytworną postać księżny, przyglądającej się jej ciekawie, urwała nagle.

— Przepraszam panią, — spytała już ciszej — czy tu mieszka profesor Bohusz?

— Tak, pani—odparła uprzejmie zapytana.

— Dziękuję—dygnęła Dziutka i usiadła na krześle. Obecność jednak tej pięknej, wytwornej pani w domu Bohusza wprowadziła ją widocznie w zły humor, nie przemówiła już bowiem ani słowa, a gdy księżna nie przestawała przyglądać się jej z zaciekawieniem, zerwała się z krzesła i podbiegła do okna, następnie zaś, założywszy w tył ręce, zaczęła oglądać obrazki na ścianach, nucąc przytem coś pod nosem, widocznie dla okazania lekceważenia tej pięknej nieznajomej w domu swego Jasia. Tak obeszła, szastając spódniczkami, cały salonik, wreszcie skreśliła ku

stołowi, przy którym siedziała księżna i dotykając jej niemal sukienką, otworzyła nagłym ruchem album, leżący na stole.

Wtem do uszu jej doleciało ciche, uprzejme zapytanie:

— Pani zapewne także pacjentka profesora?

Dziutka zrozumiała w mgnieniu oka sytuację.

— Ah, to tylko pacjentka — pomyślała i siadła odrazu na najbliższym krześle.

— Tak, pani — rzekła, przechylając wdzięcznym uchem głowę i patrząc w twarz uśmiechniętą nieznaną.

— W takim razie — zauważyła księżna — należy powinszować profesorowi wspaniałego wyniku.

Dziutka odzyskała już humor i wesołość.

— I jak jeszcze!—zawołała.—Bo czy pani uwierzy, że przyniesiono mnie do profesora na fotelu, w czepku, okularach i z tabakierką w ręce.

— Co pani mówi? Taką już pani była staruszką?

— Tak pani — odparła ze skromną minką tancerka — dziewięćdziesiąt lat!

— Dziewięćdziesiąt lat? Ależ to cud prawdziwy. I była pani przedtem również tak ładna?

— Podczas pierwszej młodości mojej—fantazjowała w dalszym ciągu Dziutka z ożywieniem •— mówiono powszechnie, że jestem bardzo ładna. A teraz— dodała skromnie—jak pani widzi...

Nieraz panie, spotkawszy się w poczekalni wziętego lekarza, rozmawiają poufnie o skutkach jego leczenia, nie znając się wcale. Taka właśnie rozmowa toczyła się obecnie pomiędzy księżną a Dziutką.

- —

— Cudowny, niesłychany wynalazek — mówiła księżna z przejęciem.

— O tak, proszę pani — potakiwała Dziutka — czegoś podobnego jeszcze nie było. Tylko...—tu urwała nagle, jakby zażenowana, dodając po chwili — ta kuracja działa tak dziwnie!

— Pod jakim względem? — zapytała księżna zaciekawiona.

— Czy pani jest mężatką? — rzekła Dziutka, nie odpowiadając na pytanie.

— Jestem wdową—odparła zapytana z pewnym zdziwieniem w głosie.

— No, to musi pani—szepnęła swawolna dziew-

czyzna, spuszczać oczy — wyjść za mąż
— Ah, więc na tem polega ów dziwny skutek
kuracji! — zaśmiała się księżna.

Zajęte rozmową kobiety nie słyszały bryczki, za-
jeżdżającej po miękkim błocie przed ganek.

Wyskoczył z niej Bohusz, zdziwiony widokiem
dwu samochodów na podwórzu, wszedł szybko, do
pokoju i ujrzał — Dziutkę w ożywionej rozmowie
z księżną!

Basztańska spostrzegła go pierwsza, zresztą była
pierwszą z kolei, powstała więc szybko, przeprosiła
Dziutkę i skinąwszy jej, na pożegnanie, uprzejmie gło-
wą—jak zwykle w poczekalni lekarza — pociągnęła za
sobą Bohusza na ganek.

— Czem zawiniłam — szepnęła — że pan nie
przybył wczoraj do Lasów?

— Sądziłem — rzekł wymijająco, choć czuł za-
dowolenie wewnętrzne, że skrupuły jego okazały się

płonne — iż jestem zbyteczny. Kuracja nie wymaga
obecnie odwiedzin codziennych.

— Ale ja wymagam! — zawołała prawie głośno,
tonem rozkazującym, zmiarkowawszy się jednak, objęła
Bohusza miękkim, aksamitnym spojrzeniem wielkich
oczu i dodała ciszej — i tak proszę!...

— Prośba księżny jest rozkazem — odparł ba-
nalnie, roztargniony, ujrzał bowiem w oknie uśmiech-
niętą twarz Dziutki, a myśl, że ten gość niespodziewany
naplótł głupstw jego umitrowanej pacjentce, nie dawała
mu spokoju.

— Słowo? — nalegała księżna.

— Słowo! — rzekł szybko, wciąż myśląc o Dziutce.
— Czekam więc jutra niecierpliwie — szepnęła, ściskając dłoń jego gorąco.
— A propos! — dodała, schodząc już po schodach ganku do samochodu — muszę profesorowi powinszować tej ślicznej pacjentki, czekającej na pana. Ktoby pomyślał, że to staruszka dziewięćdziesięcioletnia! Bohusz w pierwszej chwili osłupiał, ale domyśliwszy się wnet, że musi to być figiel Dziutki, zagryzł wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem, księżna zaś mówiła dalej:
— Doprawdy, jesteś cudotwórcą, profesorze. Że też nie wspomniałeś mi nigdy o tym cudzie.
— Ah, księżno — wyjąkał, nie wiedząc co odpowiedzieć. Nagle strzeliła mu myśl do głowy.
— Bo właściwie — dodał szybko — była to tylko próba. Nie wiedziałem, jak się powiedzie...
— Succes incomparable! — odparła już z samochodu, podając raz jeszcze rękę Bohuszowi.

Na progu saloniku spotkała Bohusza Dziutka, zanosząc się od śmiechu.

— Co za kawał, Jasiu! Co za pyszny kawał!
— Już wiem — odparł, nie mogąc powstrzymać się także od śmiechu — powiedziałaś jej, że jesteś staruszką dziewięćdziesięcioletnią!
— Już ci powiedziała? Co, nie pyszny kawał? A co za reklama dla mego profesora!
— Skąd ci to do głowy przyszło urwisie?
— A nie spytasz nawet skąd się tu wzięłam? — rzekła na to z wesołym wyrzutem w głosie, tuląc się

do niego i nadstawiając różowe policzki do ucałowania.

— Jedno łączy się z drugim. A więc dobrze.

Najpierw skąd się tu wzięłaś?

— Czy to ładnie — odparła, robiąc minę urażonej i łasząc się, jak zwykle — pozostawić tak swoje kochanie na bruku, bez pożegnania i prawie bez grosza? Była to z jej strony przesada prawdziwie kobieca, gdyż, wyjeżdżając, Bohusz przesłał jej sumę dość znaczną. Ale uśmiechnął się tylko na te słowa, wiedział już bowiem z doświadczenia, jak prędko pieniądz płynął przez jej łapki.

— Wiesz przecież, że musiałem wyjechać, bo byliby mnie wprost we własnym mieszkaniu zdusili.

— To prawda. Strach, co się tam dotychczas dzieje! Ale ja przecież nie mogłam tak długo wytrzymać bez mego pana. Zaczęłam więc molestować i błagać Martę, aby mi powiedziała, gdzie jesteś, ale baba uparła się i ani rusz. Dopiero, jakem posłała mego reportera...

— -

— Tego z „Telegrafu”? — przerwał Bohusz.

— Tak, tak, tego samego, co mnie wówczas naciągnął, że potrzebuje twego lekarstwa dla babki! Na to wspomnienie Bohusz roześmiał się serdecznie.

— Dopiero, gdy on się wziął do Marty i wkręcił do jej serca, to dostał adres i oto masz swoje kochanie przed sobą.

Przy tych słowach ujęła palcami spódniczkę i uczyniła przed nim najwdzięczniejszą *révérence* bale-

tową.

— I tak prosto — rzekł, sadzając ją na kanapie — z miasta samochodem?

— Phi! — odparła wesoło — jeszczebym jeździła kolejami, gdy mam własny samochód? Ale posłuchaj, jak to było z tą panią.

Tu opowiedziała szczegółowo spotkanie z księżną, przerywając od czasu do czasu opowiadanie wybuchami śmiechu, tak się cieszyła ze swego „kawału”.

Nagle spytała:

— I któż to jest ta piękna dama?

— Księżna Basztańska.

— Zapewne synowa tej starej Basztańskiej?

— Nie, ona sama.

— Żartujesz!

— Bynajmniej!

— I tyś zrobił — zawołała, odsuwając się od Bohusza, aby mu się lepiej przyjrzeć, czy nie żartuje — z tego starego czupiradła taką piękną niewiastę? Wiesz, to wprost niesłychane!

— A jednak tak jest.

— No, no! Gdy opowiem to u nas — rzekła, już myśląc o rozniesieniu ciekawej nowiny — to mi nie uwierzą! Doprawdy, chciałabym być twoją pacjentką.

— Już nią jesteś, przynajmniej ze względu na moją nianię.

— Nianię! — zawołała znów, wybuchając śmiechem, tak zabawnym wydawał się jej ten wyraz: niania w ustach Bohusza — czyś ty niemowlę, że masz jeszcze nianię?

Bohusza uraziły te słowa.

— Czyś nie poznała jeszcze—rzekł dość sucho— staruszki, piastunki mojej, która nosiła mnie jeszcze na rękach?

— Nie! I nie odmłodziłaś jej jeszcze?

— Nie. Nie chce.

— Nie chce? Kobieta nie chce być młodą? Wiesz, muszę koniecznie poznać ten numer sensacyjny!

W tej chwili, jakby na wezwanie Dziutki, uchylły się drzwi boczne i siwa głowa Józefowej zajrzała do pokoju, widząc jednak Bohusza, zajętego rozmową, cofnęła się szybko. Ale Bohusz już ją spostrzegł i zawołał:

— Nianiu, nianiu, co za interes?

Na te słowa Dziutka zerwała się z kanapy i podbiegła do wchodzącej staruszki.

— Więc to jest niania — zawołała, biorąc staruszkę za obie ręce — stara niania mego pana profesora, co nie chce być młodą!

Przy tych słowach, nachyliła się i bez namysłu ucałowała serdecznie zażenowaną starowinę w oba policzki.

— Co za interes? — powtórzył Bohusz, dziwnie poruszony tym sympatycznym wybrykiem Dziutki.

— Paniczu, obiad ostygnie zupełnie.

— Prawda, zapomnieliśmy o obiedzie. A niech no tam niania poda drugie nakrycie dla pani!

Podczas obiadu Dziutka do reszty podbiła serce niani, głaszcząc jej siwe włosy i unosząc się nad potrawami. Po obiedzie, gdy znaleźli się znów w salo-

niku, rzuciła się na szyję Bohuszowi.
— Ah, jak tu dobrze, jak tu ślicznie!— wołała.—
Co za cisza i spokój. Chciałabym tu żyć wiecznie!
Zachwyty te jednak trwały bardzo krótko. Dziutka,
prawdziwe dziecko miasta, potrzebujące do życia gwa-
ru i towarzystwa, gładkich bruków, świateł elektrycz-
nych, kawiarni i teatrów, nudziła się już śmiertelnie
nazajutrz, a trzeciego dnia, ulżywszy porządnie pugi-
laresowi Bohusza, wyjechała, żegnając się czule ze swym
„profesorem Jasiem”. Nie małą wszakże rolę w tym
pośpiechu odgrywała także trawiąca ją gorączka opowie-
dzenia w mieście swych przygód i przywiezienia tam wia-
domości o cudownem odmłodzeniu starej Basztańskiej,
co do którego nie mogła wyjść jeszcze z podziwu.
Bohusz czuł, że po odjeździe Dziutki nie ma co
dłużej popasać na wsi, był bowiem pewien, że roz-
niesioną przez tancerkę wiadomość o odmłodzeniu
księżny, podchwycą reporterzy, co zwali mu do dwor-
ku całą falangę nowych pacjentów, z którymi tu jeszcze
trudniej będzie mógł poradzić sobie, niż w mieście.
Coprawda, nie było mu to na rękę obecnie, gdy
rozkochana w „swym zbawcy” księżna, z każdym
dniem piękniejsza i majestatyczniejsza, czarowała go

wprost swą miłością. Unoszony krewkością młodzień-
czą, poddawał się tym słodkim sam na sam, nie mo-
gąc oprzeć się ich urokowi. Nie tylko więc niechętnie
myślał o ich przerwaniu, ale ponadto bał się urazić
kobietę, która wyniosła i dumna względem innych,
stawała się potulna i rozmarzona przy jego boku.
W księżnej jednak odzyskana młodość, rozogniwszy

serce, obudziła także inne, zupełnie kobiece pragnienie. Gdy bowiem zwierciadło stwierdzało jej codziennie coraz wymowniej cud, dokonany przez Bohusza, ogarniała ją chęć coraz uporczywsza ukazania tej postaci wspaniałego motyla, wyklutego ze starego, zbutwiałego kokona, oczom „towarzystwa”, wyobrażając już sobie jego osłupienie. Może wreszcie ukryta chęć dokuczenia spadkobiercom, czyhającym na jej majątek, odgrywała w tem również pewną rolę, dość, że pomimo całego uroku spotkań z ukochanym na zamku leśnickim lub w cichym jego dworku, sama wspomniała mu pewnego dnia nieśmiało o zamiarze wyjazdu do stolicy, śledząc z zaniepokojeniem, jakie to sprawi na nim wrażenie. A właśnie tak się zdarzyło, że przeglądając dnia tego korespondencję, nadsyłąną przez Martę, znalazł, między innymi, znów depeszę nagłą jednego z największych londyńskich domów bankowych z zapytaniem, kiedy można zastać go w domu? Już dwie takie depesze nadeszły w ciągu ostatnich paru tygodni, zwlekał jednak z dnia na dzień z odpowiedzią na nie, choć przeczuwał, że chodzi tu o sfinansowanie jego wynalazku i doczekał się w końcu trzeciej. W odpowiedzi na nieśmiałą propozycję księżny, podał jej otrzymany właśnie telegram.

- -

— Trzeba jechać!—zadecydowała, uradowana, że nie pokazał jej tej depeszy przedtem i że spełni się ukryte jej marzenie posiadania go przy sobie w mieście. — Jestem pewna, że depesza ta rozstrzygnie o przyszłości genialnego twego wynalazku, jedyny! I tego samego jeszcze dnia Bohusz odtelegrafo-

wał: „Będę z powrotem u siebie pierwszego grudnia”.

V

POWRÓT DO MIASTA.

Przywieziona przez Dziutkę do stolicy wiadomość o odmłodzeniu starej księżny Basztańskiej przyjęto tam z pewną nieufnością, wszyscy bowiem już od tak długiego szeregu lat znali starą, pretensjonalną i śmiesz-
ną „Starą Basztę” pod jedną i tą samą postacią, jak zasuszoną mumję egipską w muzeum miejskim, że nikt nawet nie przypuszczał, aby eliksir młodości prof. Bohusza mógł i jej przywrócić piękność i młodość. Dziutka jednak powtarzała tak szczegółowo i z taką pewnością siebie spotkanie w dworku Bohuszowym, tudzież zapewnienia profesora, że w końcu „Telegraf” zdecydował się podać o tem dyskretną notatkę, zaczynającą się od słów: „Jak nam opowiadają”, „Wiadomości” zaś, nauczone poprzedniem doświadczeniem, postanowiły wysłać specjalnego korespondenta do zamku leśnickiego. Zanim to wszakże nastąpiło, minął z górą tydzień i gdy korespondent dotarł wreszcie do zamku, to dowiedział się, że księżna wyjechała dnia poprzedniego do stolicy. W każdym razie, choć nie mógł przekonać się naocznie o cudzie sprawionym przez Bohusza, to jednak zdołał od służby zamkowej zebrać wiadomości, potwierdzające najzupełniej opo-

- -

opowiadanie Dziutki i przesłać dziennikowi swemu depeszę sensacyjną. Dopiero wówczas w mieście zawrzało, a Dziutka triumfowała.

Tego samego dnia, a była to data, oznaczona w depeszy, punktualnie o godzinie zrana, rozległ się dzwonek w przedpokoju mieszkania Bohuszowego i Marta przyszła donieść, że „jakieś francuzy” chcą się widzieć z profesorem. Bohusz rzucił okiem na podane sobie karty wizytowe i przeczytał:

„John James with The Northwestern Bank of London”.

„C. B. Mitchell, Managing Director of The Union Bank of New York”.

„Pierre Legrand, Banque Internationale de Commerce a Paris”.

— Prawdziwie międzynarodowe towarzystwo — szepnął i wyszedł do oczekujących gości.

— Bardzo przepraszam panów — rzekł po francusku, wchodząc do pracowni— że nie odpowiedziałem zaraz na depeszę, ale nie mogłem być wcześniej w stolicy.

— Czy istotnie — odparł na to również po francusku, ale silnym akcentem angielskim, jeden z trójcy, wysoki, smukły mężczyzna o twarzy energicznej i o wzroku zimnym a uporczywym — czy istotnie mamy przed sobą profesora Jana Bohus-z?

— Tak jest!

— Wynalazcę eliksiru młodości?

— Tak, panie!

— Lat siedemdziesiąt dwa?

— Skończonych.

- -

— Nawet skończonych. Bardzo dobrze. Odmłodzonego własnem lekarstwem?

— Jak pan widzi! — roześmiał się Bohusz, zaba-

wiony tern badaniem.

— Z czego się pan śmieje?—spytał zimno anglik.

— Bo uważam badanie to za zabawne. Czem mogę służyć panom?

— Przepraszam — przerwał nieubłagany inkwizytor, ze spokojem kamiennym — czy ten sam, który odmłodził sędziego Trzaska i, jak się dzisiaj dowiadujemy, księżnę Basztanska?

— Zajęty właśnie kuracją księżny w jej zamku, nie odpowiadałem panom na depeszę.

— Zgadza się to z informacjami naszemi. A zatem, mając już pewność, że rozmawiamy istotnie z wielkim wynalazcą eliksiru młodości, mam zaszczyt oświadczyć panu profesorowi, że ja w imieniu banku londyńskiego Northwestern, tudzież przyjaciele moi: pan J. P. Mitchell w imieniu banku nowojorskiego Union i pan Pierre Legrand w imieniu Banque Internationale de Commerce a Paris — przybyliśmy zaproponować panu profesorowi kupno jego wynalazku, o ile okazałby się tak skuteczny, jak głoszą, na warunkach następujących:

„Odstąpi nam pan profesor wyłączne prawo wyrobu i sprzedaży swego eliksiru za sumę miliona funtów sterlingów i dziesięć procent czystego zysku syndykatu, przez nas utworzonego”...

Bohuszowi zabiło mocno serce, gdy usłyszał wymienioną sumę tak olbrzymią. Bo choć znał wartość swego wynalazku, to jednak, nie zajmując się nigdy

obrotami handlowemi, nie wyobrażał sobie, aby ktokolwiek mógł mu złożyć taką ofertę. Widocznie jednak

trójca przedsiębiorców obliczyła dobrze możliwości, wypływające z genialnego wynalazku i pragnęła odrazu usunąć współzawodników, James bowiem nie położył nawet nacisku na wyraz: „milion”, a wspólnicy jego skinęli, ruchem spokojnym, potakująco głowami, poczem angił mówił dalej tym samym głosem zimnym: ... „o ile pan profesor odmłodzi pod naszą osobistą kontrolą trzy kobiety i trzech mężczyzn, przez nas wskazanych i liczących więcej niż po lat siedemdziesiąt, w ciągu” ...

Tu spojrział pytająco na Bohusza.

— W ciągu — odparł spokojnie wynalazca — sześciu tygodni.

— Bardzo dobrze. W ciągu zatem sześciu tygodni. Koszt leczenia tego bierzemy na siebie. Zważywszy wszakże na to, że nie znamy ani warunków, ani ludzi tutejszych i pragniemy, aby również inni spółnicy naszego syndykatu mogli kontrolować kurację, wymagamy, aby odbyła się w Paryżu lub Londynie, biorąc przytem na siebie koszt podróży, jak również utrzymania pana profesora w pierwszorzędnym hotelu podczas całego trwania kuracji. O ile zaś kuracja nie powiedzie się, to ani profesor do nas, ani my do profesora nie będziemy nawzajem rościć sobie pretensji.

Bohusz uśmiechnął się znów pod wpływem tego uroczystego i metodycznego wykładu.

— Z czego się pan śmieje? — zapytał zimno James.

— Gdyż jestem pewien skutków mego eliksiru

i bawią mnie zastrzeżenia panów.

— Tem lepiej, ale jest to interes milionowy i traktujemy go poważnie.

— Ja także! — odparł szybko wynalazca, podając gościom skrzynkę z cygarami i papierosami. — Oświadczam zatem, że zgadzam się na warunki panów. Próba odbyć się może, gdzie się panom podoba i pod kontrolą, jaką tylko uznacie za stosowną, a co się tyczy kosztów podróży i pobytu w obcym mieście, to pozwolicie, że nie będę korzystał z waszej uprzejmości. Pozostaje tylko do rozstrzygnięcia sprawa miejsca i czasu próby.

— Paryż — zaproponował pan Legrand.

— Zgadza się pan profesor na Paryż? — spytał James.

— A kiedy — spytał Mitchell — mógłby pan profesor tam stanąć?

— Choćby za tydzień mogę na panów czekać w Grand Hotelu.

— Bardzo dobrze — zdecydował James spokojnie, puszczając z ust kłęb dymu cygarowego. — Dnia ósmego grudnia, o godzinie dziesiątej zrana, przybędziemy po pana profesora do Grand Hotelu w Paryżu. Sprawa załatwiona. Mój przyjaciel, pan Legrand, będzie zatem łaskaw uzupełnić umowę, którą ma spisana w dwu egzemplarzach.

Francuz otworzył teczkę, trzymaną w ręce i zasiadł przy biurku.

Jeżeli podczas tej konferencji Bohusz roześmiał się dwukrotnie, to może nie tyle pod wpływem

sposobu wyrażania się Jamesa, ile z potrzeby dania upustu uczuciu radości, które rozpierało mu piersi. Miał teraz pewność niemal zupełną, że jest milionerem i że pozbędzie się nareszcie kłopotu eksploatacji swego wynalazku. Nie obchodziło go nic więcej poza tem. Pod wpływem tego radosnego uczucia, nie zważał też na wciąż wznawiający się dźwięk dzwonka w przedpokoju, tudzież dzwonka telefonu w pokoju sąsiednim i na zirytowany głos Marty, biegającej od jednego dzwonka do drugiego.

Panów Jamesa i Mitchella również nie wytrącały z równowagi te odgłosy, ale nerwowy pan Legrand wciąż podrygiwał na krześle, gdy zaś zasiadł do biurka, dla uzupełnienia umowy, a w tejże chwili odezwało się gwałtowniejsze dzwonienie telefonu, przez zaciśnięte zęby francuza wyrwało się ciche zaklęcie:

— Diable!

Wówczas dopiero Bohusz spostrzegł zniecierpliwienie gościa i zerwał się z krzesła.

— Co się tu dzieje? — zawołał, wchodząc do jadalni. — Ani chwili niema spokoju.

— Panie profesorze—odparła zrozpaczona Marta— tam, w sieni znów się cisną dziady z całego miasta, a tu wciąż się pytają przez telefon, czy pan profesor jest w domu!

— Zaraz na to poradzimy!

Przy tych słowach, Bohusz zdjął, pogwizdując, słuchawkę z telefonu, a w przedpokoju przeciął najspokojniej w świecie scyzorykiem drut u dzwonka.

— I teraz będzie spokój! — rzekł do zdumionej Marty.

— Tak się panu zdaje! Te dziady niedługo drzwi wywalą — szepnęła, rzucając wejrzenie pogardliwe na drzwi od sieni, teraz bowiem uważała wszystkich nieodmłodzonych starców za istoty niższego rzędu, a przytem za wrogów osobistych.

— I na to znajdzie się rada, jeżeli będzie potrzeba! — odparł, śmiejąc się i wszedł do jadalni. Tu siedemdziesięcioletni młodzieniec wywinał kozła na otomanie, poczem, stanąwszy na nogach, uniósł się na palcach, trzasnął obcasem o obcas, poprawił szybkim ruchem czuprynę i wąsy przed zwierciadłem i wyładowawszy w ten sposób choć trochę energii radości, wrócił poważnie do cudzoziemców.

Umowa była już uzupełniona. Odczytano ją i podpisano, a gdy wreszcie przedstawiciele syndykatu eliksiru młodości znaleźli się w przedpokoju, uszu ich doleciała z sieni wrzawa coraz głośniejsza.

Spojrzeli zaniepokojeni na Bohusza.

— Widocznie — rzekł wesoło — dzienniki ogłosiły już o mym powrocie i znów zaczyna się obleżenie. Zbiegają się tu zewsząd starcy, abym ich leczył.

— Ah, to tak?—wycedził James i raczył nareszcie wyszczerzyć długie zęby w uśmiechu.

— Business zapowiada się doskonale—zauważył Mitchell.

— Odmłodzimy świat!—zawołał Legrand.

Istotnie, w sieni, na schodach i przed domem zgromadził się już tłum staruszków wszelkiego rodzaju, dowiedziawszy się z „Wiadomości” o powrocie wy-
nalazcy.

Pierwsza stanęła pod drzwiami mieszkania Bohuszowego mocno otyła, niemiłosiernie wymalowana i przesadnie wystrojona starowina, w której łatwo można się było domyśleć aktorki wysłużonej. Pani ta, zdobywszy tak świetne stanowisko, broniła go zacięcie przed każdym intruzem, który po niej zbliżał się do dzwonka i pytał o profesora. Każdego takiego przybysza odpychała bez ceremonji łokciami i zasłaniała całkowicie drzwi potężnym tułowiem.

Zniecierpliwiony tem, stojący za aktorką jegomość wychudły i zgarbiony, w czapce futrzanej z nausznikami, oparty na kijku, odezwał się w końcu złośliwie:

— Spiesz się jejmości do młodości!

— A tobie może nie, stary graciku! — odcięła się aktorka.

— Vive la politesse!—odezwał się na to szczupły, ruchliwy staruszek, drepcący obok w eleganckim futerku i w kapeluszu tyrolskim z kitką z tyłu na małej główce.

Aktorka spojrzała na niego pogardliwie, a ponieważ miał nos czerwony z wiszącą u końca kapką i twarz wykrzywioną tak, jakgdyby miał kichnąć, wycodziła przez sztuczne zęby:

— Fircyk zatabaczony!

Staruszek zachnął się, wydobył chustkę uperfumowaną, otarł szybko nos, ale tak się zaperzył niespodzianem przewiskiem, że na razie nie mógł wymówić ani słowa, tymczasem zaś wśród dalszych szeregów, gdzie wzięto wyraz politesse za policję, zaczęły odzywać się głosy:

— Arystokracja! Docisnęła się do drzwi, to grozi już policją!

— Nie trzeba było przychodzić, byłoby luźniej! Wzrastała w ten sposób wrzawa, krzyżowały się w powietrzu przezwiska, tworzyły obozy i zaczynało już być gorąco wśród tej ciżby, żadnej odzyskania młodości. Gdy wszakże otworzyły się drzwi i trzech panowie, w których domyślano się cudzoziemców, rozmawiali bowiem po angielsku, zaczęli przeciskać się przez tłum ku ulicy, sień i schody zalega odrazu cisza. Zazdroszczono z głębi duszy szczęśliwcom, przed którymi otworzyły się już drzwi Sezamu.

Po chwili jednak zawrzało znów na schodach, jak w ulu, we drzwiach bowiem stanęła Marta i nakleiła na nich szybko kartę z napisem:

„Z powodu wyjazdu zagranicę, prof. Bohusz nie przyjmuje pacjentów”.

Przeczytawszy napis, staruszek w kapeluszu tyrolskim z kitką uczuł się pomszczony i, uchyliwszy kapelusza przed otyłą aktorką, która, jakby nie dowierzając nagłemu zwrotowi rzeczy, nie ruszała się z miejsca, wciąż wpatrzona w kartę, rzekł zjadliwie:

— Moje uszanowanie pani, możeby przynieść krzeselko?

— Impertynent! — wycedziła majestatycznie zawiedziona.

W końcu opróżniły się schody, i zapanował na nich spokój. Wówczas ukazał się Bohusz, promieniący radością, zbiegł lekkim krokiem na ulicę i pojechał do Dziutki.

Następnego dnia przypadał jour fixe u księżny. Innych lat o tej porze była już na Rivierze, dziś jednak spieszyła olśnić cudem, dokonanym przez Bohusza, najpierw swoich, zanim ukaże się pod nową postacią nad błękitnymi falami morza Śródziemnego. Jak chodziło o to księżnie, tego dowodziła inspirowana widocznie notatka, podana na łamach „Wiadomości” i innych pism miejscowych.

„Księżna Adamowa z Basztańskich Basztańska powróciła na parę tygodni do naszego miasta i zamierza przyjmować w dni zwykłe”.

O zmroku przed pałacem Basztańskich zaroilo się od samochodów, karet, a nawet zwyczajnych drożek. Kto tylko kiedykolwiek uzyskał prawo wstępu na salony książęce, spieszył tam dziś, aby przekonać się naocznie, ile prawdy jest w tern, czem korespondent specjalny „Wiadomości” naszpikował łamy swego dziennika i co głosiła już stugębna fama po mieście.

W jasno oświetlonych, przepysznych salonach pałacu snuły się już rzesze, a księżny, wbrew zwyczajowi tych jour fixów, podczas których wykrygowana, pretensjonalna i udająca ruchliwość młodzieńczą, przyjmowała wszystkich niemal u drzwi salonu, jeszcze widać nie było, co wprost zakrawało na niegrzeczność z jej strony. Uwagę natomiast wszystkich przykuwał zawieszony w sali, t. zw. Białej, wielki, wspaniały portret, nigdy tu przedtem nie widziany, znali go bowiem tylko najbliżsi pani domu, odwiedzający ją na zamku leśnickim. Był to ten sam jej portret, na którego widok wyrwał się przed kilku tygodniami z ust Bohusza okrzyk;

— Taką widzę księżną dzisiaj przed sobą!

Księżna nie zapomniała o tym wykrzykniku, kojarzącym się z tak słodkim wspomnieniem pierwszego pocałunku odrodzonej młodości i wiedziona kokieterją kobiecą, jak również pragnieniem zadokumentowania tego, co mogło zdawać się nieprawdopodobieństwem, zabrała z sobą portret do stolicy i kazała zawiesić go w Białej sali pałacu.

Przyglądano się więc temu arcydziełu, gdy narazie otworzyły się drzwi apartamentów wewnętrznych i ukazała się w nich wyniosła postać olśniewającej pięknnością brunetki, o wysoko uczesanych włosach kruczych, przetkanych sznurem pereł, okręcającym też kilkakrotnie pełną, wysmukłą szyję i opadającym na falujące wzruszeniem piersi, odbijające się plamą kremową na wyciętej, czarnej sukni starodawnego fasonu. W złożonych, jakby wykutych przez rzeźbiarza, obnażonych białych rękach widniał długi koronkowy wachlarz.

Mimowoli oczy wszystkich zebranych przebiegły z postaci tej na obraz i rozległ się szept powszechny:

— Żywy portret!

Ale większość zebranych, nie wiedząc, kogo portret przedstawia, nie poznała księżny w postaci, stojącej obecnie pod obrazem, a tak niepodobnej w niczem do tej pretensjonalnej, śmiesznej „Starej Baszty”, znanej przez całe miasto. Znający zaś portret, nie chcieli wprost wierzyć oczom. Pomimo bowiem wszystko, co już głosiła fama po mieście, to, co ujrzeli, przewyższyło wszelkie ich oczekiwania. Nie chciało

zwłaszcza wierzyć starsze pokolenie pań, bo uczucie niewysłowionej zazdrości przeszło im serca. Narazie więc zapanowała przykra cisza w sali. Tylko sędziwy książę marszałek, szwagier pani domu, który podkochał się w niej przed laty pięćdziesięciu i tańczył z nią wówczas niejednokrotnie kadryla na lśniących posadzkach Bttrgu wiedeńskiego — przyłożywszy monokl do oka, wyprostował jeszcze bardziej sztywną postać wojskową i rzekł do uśmiechniętej triumfująco:

— Mais, parbleu, princesse, c'est un miracle inoui! Gdybym nie widział obok ciebie portretu, to gotów byłbym przypuścić, że na starość podległem halucynacjom, że śnię na jawie i widzę cię na dworze cesarzowej Elżbiety!

Przy tych słowach, złożył z ręką na sercu—zwyczajem dawnym — głęboki ukłon księżnie i ucałował jej rękę.

Uznanie to przełamało ciszę. Zawrzała sala szumem podziwu, dokoła księżny utworzyło się zwarte koło winszujących i unoszących się nad jej pomysłem zestawienia się żywcem z cudnym portretem.

Łysawy już wnuk księżny, hrabia Wiktor, podrygując na cienkich nóżkach, zawołał, całując ją w rękę:

— Doprawdy, gotów jestem zakochać się w babuni!

— Moglibyśmy pogadać o tern — zaśmiała się, rzucając spojrzenie przelotne na jego łysinę — gdybyś był młodszy cher petit fils!

W tej chwili lokaj zaanonsował:

— Profesor Bohusz!

Słyszając to, otyła, apoplektyczna hrabina Róża, nie mogąca dotychczas ochłonąć z duszącego ją uczucia zazdrości, szepnęła z poza wachlarza do małżonka: — Voila un coup de théâtre bien inscenisé!

Zdaje się jednak, że hrabia nie dosłyszał słów złośliwych małżonki, gdyż nazwisko, wymówione przez lokaja, podziałało na zebranych, jak uderzenie prądu elektrycznego.

Zapominając chwilowo o gospodyni domu, całe towarzystwo zwróciło się nagłym ruchem ku drzwiom, przez które wchodził właśnie piękny, wytworny mężczyzna w kwiecie wieku.

— Oto cudotwórca! — zawołała szczerze księżna, zbliżając się do wchodzącego, a gdy schylił się, by ucałować jej rękę, uścisnęła dłoń jego namiętnie, na policzkach zaś jej wykwitły lekkie, gorące rumieńce.

Przez słowa swe księżna sama ustąpiła w salonie pierwszeństwa Bohuszowi, pozatem jednak ciekawość poznania tak głośnego dziś odkrywcy i pragnienie posiedzenia względów jego ogarnęły do tego stopnia wszystkich, że gdy pani domu posadziła go przy sobie, nie jej już cudownie odrodzona postać, lecz on stał się ośrodkiem tego zebrania.

Przy ogólnej, ożywionej rozmowie trudno było księżnie porozmawiać poufnie z Bohuszem. Gdy wszakże służba zaczęła roznosić herbatę i ciasta i potworzyły się kółka, dyskutujące żywo nad eliksirem młodości, spytała wynalazcę, podając mu petit-foury:

— Byli zapowiadani goście u profesora?

— A jakże, byli. Są to przedstawiciele banków paryskich, londyńskich i nowojorskich, pragnący nabyć mój wynalazek.

— Widzi pan, przeczuwałam. No i cóż?

— Podpisałem umowę sprzedaży i za trzy dni wyjeżdżam na dwa, mniej więcej, miesiące do Paryża dla przeprowadzenia kuracji osób, wskazanych mi przez konsorcjum.

Aksamitne oczy Basztańskiej błysnęły radością: Do perspektywy widywania się z ukochanym bez podstępów, koniecznych tutaj ze względów rodzinnych i towarzyskich, przyłączała się próżność kobieca, czytała bowiem w oczach tych staruszek, otaczających obecnie Bohusza, żądę namiętą rozpoczęcia leczenia starości choćby dziś, choćby zaraz, wyjazd zaś wynalazcy skazywał te panie na zwłokę, a tem samem przedłużał jej triumf.

— Czy to tajemnica, profesorze? — spytała.

— Bynajmniej, księżno.

— A zatem - rzekła głośno do otoczenia, ze spokojem pozornym w głosie, przymrużając wielkie oczy, jakby dla tem większego ukrycia nurtujących ją uczuć—mogę państwu powiedzieć, z upoważnienia profesora, wielką nowinę!

— Prosimy, prosimy!—odezwał się chór głosów, a dziesiątki głów nachyliły się chciwie ku mówiącej.

— Profesor Bohusz sprzedał dziś wynalazek swój konsorcjum banków francuskich, angielskich i amerykańskich i wyjeżdża do Paryża.

Przeciągłe: A-a-a! — rozległo się wśród zebranych,

poczem posypały się powinszowania, a znany sylf re-

- -

dakcyjny „Wiadomości”, notujący dotychczas ukradkiem w karneciku różne szczegóły zebrania, oderwał nagle ołówek od papieru i nadstawił uszu.

— Co za sensacja! — szepnął, schował karnet i wymknął się po angielsku, spiesząc do redakcji. Niebawem zaczęli się rozchodzić też inni goście, pragnąc podzielić się w kółkach rodzinnych, teatrach i na zebraniach tego jeszcze wieczora niezwykleimi wrażeniami.

— Musimy zaraz jechać do Paryża! — rzekła, wychodząc, apopléktyczna hrabina Róża do małżonka.

— Chyba nie dzisiaj jeszcze! — zawołał przerażony hrabia.

— Ganache! — wycedziła zirytowana, siadając do karety.

Żegnając się z księżną, Bohusz usłyszał z poza jej wachlarza słowa ciche, jak szelest rosy, opadającej z liści:

— Jutro, o szóstej, u ciebie.

* * *

Nazajutrz wyrywano sobie wydanie poranne „Wiadomości”, zawierało bowiem trzyszpaltowy artykuł o wczorajszym przyjęciu u księżny Niny.

„Veni, vidi, vici — zaczynał się ów pamiętny artykuł — pisał Cezar do senatu rzymskiego, zwyciężywszy króla Pontu. I my pod takim wrażeniem opuściliśmy wczoraj gościnne salony księżny Adamowej Basztańskiej”...

Wprawdzie z dalszego ciągu artykułu nie sposób

było domyśleć się, kto właściwie na tem zebraniu

zwyciężył: księżna, prof. Bohusz, czy też reporter „Wiadomości”? — nie mniej jednak z ogromnem zajęciem czytano długą listę osób tam obecnych, opis śmiałego pomysłu pani domu ukazania się w stroju z przed pół wieku w zestawieniu z portretem słynnego artysty, wreszcie wiadomość o sprzedaży wynalazku prof. Bohusza.

Końcowy tylko ustęp artykułu wywołał pewne niesnaski, reporter bowiem, wpadłszy w ton mentorski, zwrócił się z gorzkimi wymówkami do kapitalistów miejscowych, że znów, grzęznąc w kwietyzmie, zaniedbali przysłużyć się krajowi, że przez niedołęstwo pozbawili stolicę kraju olbrzymich dochodów, które niewątpliwie byłyby jej udziałem, gdyby założono w niej zakład leczenia starości sposobem prof. Bohusza. „Ale—kończył oburzony autor—widać to już nasza chroniczna choroba, że pozwalamy zawsze wyprzedzać się obcym”.

Ustęp ten uznano za zbyt ostry, a nawet niesłuszny, wielu poważnych ludzi, dbających o spokój i moralność miasta, zdaniem ich bowiem odkrycie prof. Bohusza było wogóle niemoralne, a jeden z dzienników prowincjonalnych, mający anse do „Wiadomości”, wystąpił nawet z repliką, w której była mowa o ptaku, kalającym własne gniazdo, skąd wywiązała się, oczywiście, dość ostra polemika.

Tymczasem zaś, na trzeci dzień po pamiętnem przyjęciu u księżny, Bohusz podążył kurjerem nocnym do Paryża.

VI

POWIKŁANIA.

Trzy tygodnie zaledwie upłynęły od chwili rozpoczęcia przez Bohusza, pod kontrolą przedstawicieli syndykatu angielsko-amerykańsko-francuskiego, leczenia starości u sześciu osób, wybranych przez syndykat, a już stwierdzono wyniki tak świetne i nie ulegające żadnej wątpliwości, że biura syndykatu były wprost oblegane przez tłumy, żądne rozpoczęcia kuracji, a prof. Bohusz stał się bohaterem dnia stolicy Francji. Postanowiono więc przyspieszyć termin podpisania kontraktu ostatecznego. Wynalazca ustępował wszelkie prawa do wyrobu i sprzedaży swego wyciągu Towarzystwu międzynarodowemu: „Prof. Bohusz's Elixir of Youth Company (Limited)” i wchodził w posiadanie sumy dwudziestu pięciu milionów franków, złożonej na jego rachunek w banku Credit Lyonnais, nie licząc spodziewanych zysków z przedsiębiorstwa, Towarzystwo zaś przystępowało natychmiast do wyrobu cudownego leku na wielką skalę. Po podpisaniu kontraktu, Bohusza ogarnęła znów ta ogromna radość, której był zaznał już wówczas, gdy delegaci syndykatu zaproponowali mu kupno wynalazku. Przygniatający go ciężar myśli o kłopotach,

pracy uciążliwej i więzach, nakładanych przez te tłumy, cisnące się po eliksir młodości, teraz, gdy odzyskana młodość porywała go do życia i uciechy, nareszcie

spadł mu z serca.

Wychodził z biura syndykatu, żegnany uściskami dłoni i uniżonemi ukłonami, nie tylko z uczuciem triumfu i dumy, ale z wesołością młodzieńca, który schowawszy, po uciążliwych egzaminach, patent gimnazjalny do kieszeni, myśli narazie tylko o czekających go wakacjach bez troski.

Pierwszą jego myślą było zatelefonować po Dziutkę, której był obiecał, że sprowadzi ją do Paryża, jak tylko skończy próby, wymagane przez syndykat.

Ogromnie lubił tą dziewczynę, posiadającą tyle wdzięku naturalnego i wesołości urwisowskiej. Nagle jednak stanęło mu przed oczyma aksamitne, głębokie spojrzenie wielkich, czarnych oczu księżny i uczył dreszcz dziwny.

W kilka zaledwie dni po wyjeździe Bohusza do Paryża i księżna wyjechała na Riviere. Ale pozornie tylko, z Medjolanu bowiem skręciła na północ i stanęła w paryskim Grand Hotelu, stęskniona, rozkochana, przykuwająca oczy wszystkich pięknnością majestatyczną.

Miłość jej namiętna, gwałtowna, rozkazująca działała na Bohusza, jak haszysz. Wobec Dziutki czuł się swobodny i wesoły, najlepiej bawił się w jej towarzystwie. Przy boku zaś księżny odczuwał uległość prawie niewolniczą, nie mniej wszakże schlebiała mu ta miłość dzika wytwornej, rasowej kobiety, pod wpły-

wem zaś aksamitnego, oddanego jemu wyłącznie, spojrzenia wielkich, czarnych oczu zapominał o świecie całym. I choć potem odczuwał dziwny lęk, a nawet

jakby bunt przeciwko narzucanym sobie więzom, to wspomnienie tych oczu i tej postaci królewskiej wystarczyło, aby wywołać w nim znów gwałtowną żądę ujrzenia czarodziejki, poddania się jej urokowi. Zabawiwszy dni kilka w Paryżu, przy boku ukochanego, księżna wyjechała do Nizy, wymogła jednak na Bohusza słowo, że ją tam odwiedzi. Korzystając z kilku dni wolnych, spełnił daną obietnicę, ale dorywcza ta wycieczka nie sprawiła ani jemu, ani księżnie zadowolenia zupełnego, życie bowiem hałaśliwe miasta, skupiającego w sobie, obok Monte Carlo, cały świat zabawy o tej porze roku, jak również rój wielbicieli, otaczających teraz księżnę, podziwiających powtórnie jej urodę i śledzących ją ' na każdym niemal kroku—zmuszały do wymiany tylko spojrzeń, tajonych uścisków dłoni lub przelotnych pocałunków. Pewnego więc dnia księżna znikła z Nizy, przenosząc się incognito do cichego, uroczego Cannes i ztamąd kilkakrotnie już bombardowała Bohusza listami, oraz depeszami, wzywając do przyjazdu.

Dziś więc, gdy po podpisaniu kontraktu i załatwieniu w Credit Lyonnais formalności, dotyczących się ulokowanych tam na jego rachunek milionów, stanął na granitowych schodach banku i, puszczając dym z papierosa, spoglądał wzrokiem radosnym na tłumy ruchliwe i gwarne, na setki samochodów, dorożek, autobusów, sunące nieprzerwanym niemal szeregiem przez bulwary, w umyśle jego wahało się pytanie:

— Zatelegrafować po Dziutkę, czy też pojechać do Niny?

Wyobrażał sobie chwile wesołe, które spędzałby w towarzystwie jasnowłosej dziewczyny w nowoczesnym Babilonie, ale z drugiej strony namiętne słowa listów księżny, wspomnienie omdlewającego spojrzenia cudnych oczu, drażniło jeszcze bardziej wyobraźnię. Wprawdzie obiecał był Dziutce, że sprowadzi ją do siebie po ukończeniu prób z eliksirem młodości, miało to jednak nastąpić po upływie sześciu do siedmiu tygodni. Tymczasem dzisiaj, zaledwie po upływie trzech tygodni od przyjazdu do Paryża, podpisał już kontrakt i, powierzywszy dalsze kuracje lekarzom syndykatu, był wolny zupełnie. Dziutka więc nie liczy na to i czekać będzie spokojnie kilka jeszcze tygodni. To go zdecydowało: Pojedzie na dwa lub trzy tygodnie do księżny, a następnie sprowadzi do Paryża Dziutkę.

Uszczęśliwiony tem prostem, jak sądził, rozwiązaniem zadania, wyjechał jeszcze tego samego wieczora. Pobyt w uroczym Castrum Marcellinum, tak ulubionem przez society londyńską zimowisku, zamienianem przez nią w skrawek Albionu, przepojony wszakże nie mgłą i dymem, lecz słońcem i upajającą wonią kwiatów—powetował Ninie i Bohuszowi zawód, jakiego doznali w Nizzy. Śród fijołków i hiacentów, magnolji, pomarańcz i drzew migdałowych, w ustronnej willi, na zboczu górskim, zwróconem ku ciemno-błękitnemu przestworowi morza Śródziemnego, księżna panowała teraz niepodzielnie nad ukochanym. Bohusz poddawał się z lekkim sercem tej słodkiej tyranji,

czarującej wytwomością i dogadzającej opanowującemu

go lenistwu, przerywając ją tylko wówczas, gdy depe-
sze nagłace syndykatu wzywały na narady nad urzą-
dzeniem wielkich zakładów wyrobu eliksiru młodości.
Od czasu do czasu odzywała się także Dziutka,
przypominając obietnicę i żądając pieniędzy. Z po-
czątku listy te odczuwał, jak wyrzut, następnie jednak
rozleniwiony u boku swej Kleopatry, jak nazywał żar-
tobliwie księżną, odpowiadał na nie z pewną niecier-
pliwością, wymawiając się nawałem zajęć, nie mniej
wszakże załączał do odpowiedzi tych przekazy na tak
znaczną sumę, że Dziutka mogła być zadowolona,
pomimo łatwości, z jaką prześlizgiwał się—jak rzekliś-
my — pieniądź przez jej łapki atlasowe.
I nie spostrzegł się nawet, że w ten sposób mi-
nęło, zamiast zamierzonych trzech tygodni, prawie trzy
miesiące.

Okres ów wystarczył już, aby zapewnić eliksi-
rowi młodości rozgłos wszechświatowy.

Niczem był kurs De Beersów*) wobec kursu, ja-
ki osiągnęły po dwu miesiącach akcje Towarzystwa
międzynarodowego P. B. E. Y., zwane już powszech-
nie Pebejami. Bohusz, umieściwszy w nich znaczną
część swego kapitału, mógł, jak ów dumasowski hr.
Monte Christo, szafować złotem bez miary. I księżna,
idąc za jego przykładem, powiększyła w ciągu kilku
zaledwie tygodni dziesięciokrotnie majątek. Gorączka
spekulacji Pebejami ogarnęła wszystkie warstwy. Zda-
wało się, że kolumny korynckie gmachu giełdy pary-

*) Słynne kopalnie diamentów w Afryce Południowej.

skiej drżą w posadach, że chwieją się kasztany, okalające plac giełdowy, od ryku kulisierów, wywołujących te akcje. A zwiększaniu się chęci ich pokupu nie było końca, liczba bowiem zgłoszeń po eliksir młodości wzrastała z dniem każdym, pomimo cen ogromnych, oznaczonych przez syndykat za ten lek cudowny.

Zarząd poczty francuskiej nie wysyłał już do biura Towarzystwa listonoszów, lecz zwoził korespondencję całemi furgonami, zanim Towarzystwo nie założyło filji swych w Rzymie, Berlinie, Wiedniu, Madrycie, Amsterdamie, Sztokholmie i innych stolicach pięciu części świata i zanim w olbrzymich gmachach jednej z największych fabryk przetworów chemicznych, zakupionej przez Towarzystwo, nie rozpoczęło wyrobu eliksiru na wielką skalę.

Rozchodziły się tedy codziennie na wszystkie strony całe skrzynie banieczek szklanych, zawierających lek drogocenny i pożądaný, a choć nie obeszło się bez opłacenia prasie olbrzymiego haraczu za ogłoszenia, to jednak największą reklamą dla Towarzystwa było kilka tysięcy osób, czy to o nazwiskach znanych, czy też piastujących stanowiska wybitne na polu handlu, przemysłu, literatury i t. p., wyleczonych ze starości, dzięki wyciągowi prof. Bohusza.

Jednocześnie zaczynały już ujawniać się nadzwyczajne powikłania, wywołane przez ten wynalazek w stosunkach ludzkich. Genealogowie tracili głowy na myśl, jak poskręcają się i pogmatwiają piękne konary drzew genealogicznych, rozchodzące się systematycznie z pnia, wyrastającego z łona rycerza prostoplasty, skoro, na przykład, odmłodzony dziadek,

ożeniwszy się ze stryjeczną wnuczką, stanie się ojcem swego prawnuka, a wnuczka będzie prababką swego syna. Nie mniejszego kłopotu przysporzyły związki takie prawnikom, wikłając w sposób zastraszający prawa dziedzictwa. Odmłodzona wielka księżna Gerolsteinu, poślubiwszy swego prawnuka, księcia Lumpenburga, który zakochał się w niej na zabój, raczyła nawet najmiłościwiej rozkazać sejmowi swego państwa, aby zajął się zasadniczym rozstrzygnięciem sprawy następstwa tronu w Gerolsteinie i Lumpenburgu w razie narodzin syna z tego związku, posiadała bowiem już potomstwo z pierwszego małżeństwa. Wywołało to, oczywiście, na łamach prasy obu księstw polemikę ożywioną, która przeniosła się następnie na szerszą widownię świata. Małżeństwo to jednak wchodziło także, ze względu na swój charakter, w dziedzinę polityki międzynarodowej, a zatem sprawdziły się przewidywania głębokiego polityka „Wiadomości”, że wywnalazek prof. Bohusza musi wywrzeć i pod tym względem wpływ poważny.

Istotnie, najpierw telegramy doniosły o nagłym zgonie jego królewskiej wysokości, następcy tronu rumelijskiego. Nieszczęśliwy ten książę tak się struł, ujrzawszy, po trzydziestoletnim oczekiwaniu na koronę, dostojnego rodzica swego, odmłodzonego przez eliksir prof. Bohusza, że uległ atakowi apoplektycznemu. Następnie nadeszła wiadomość o krwawej rewolucji w Cochabambie, gdzie prezydent tej republiki, zmieniając, pod wpływem kuracji słynnym eliksirem, przekonania polityczne, przeszedł bez namysłu z obozu konserwatywnego do liberalnego, zdradzając brzydtko

— -

zwolenników swoich. Z Farsystanu znowu nadleciała depesza iskrowa o wybuchu tam rewolucji pałacowej, wywołanej przez damy haremowe, oburzone tem, że jego sułtańska mość, zapalawszy miłością, podniósł z trzydziestej szóstej do pierwszej rangi starą, wysłużoną małżonkę, która, zdobywszy skądciś eliksir prof. Bohusza, odzyskała młodość i urodę. Po co jednak sięgać do tak odległych krain, skoro i we Francji doszło do groźnego wrzenia, starzy bowiem, pogarbieni pracą rezerwiści rolnicy zaprotestowali gwałtownie przeciwko temu, że są powoływani do ćwiczeń wojskowych, gdy tymczasem pacjenci Towarzystwa P. B. E. Y., znajdujący się obecnie w pełni sił i zdrowia, nie potrzebują fatygować się do punktów zbornych tylko ze względu na metryki urodzenia? Wrzenie ustało dopiero wówczas, gdy parlament francuski wydelegował specjalną komisję, dla rozważenia nagłego wniosku grona deputowanych radykałów socjalistów, aby na przyszłość kwalifikowano powołanych do ćwiczeń rezerwistów nie według metryk, lecz na oko. Omal, że nie doszło wreszcie do ostrego zatargu dyplomatycznego pomiędzy Anglią i Włochami z następującego powodu: Mianowanego świeżo ambasadora angielskiego w Moskwie wybrali tamtejsi przedstawiciele państw zagranicznych na dziekana ciała dyplomatycznego, ponieważ okazał się najstarszym z nich, liczył bowiem siedemdziesiąt trzy lata, choć, dzięki eliksirovi prof. Bohusza, wyglądał najwyżej na lat trzydzieści i oddawał się z zamiłowaniem sportom wszelkiego rodzaju. Oburzyło to mocno dotychczasowego dziekana, sędziwego ambasadora włoskiego, liczącego siedemdziesiąt

— -
dwa lata, który upierał się przy starości, rozkochany w swej wspaniałej, patriarchalnej brodzie śnieżnej i obliczu tycjanowskiego starca. Poprosił więc o dymisję, oświadczając swemu rządowi, że nie myśli poddawać się w obradach i przyjęciach ciała dyplomatycznego przewodnictwu „młokosa”. Dopiero po długiej wymianie depesz pomiędzy obu rządami doszło do porozumienia, gdyż rząd Wielkiej Brytanji zgodził się uczcić siwą brodę włocha, pod warunkiem wszakże, aby starość z wyglądu nie zaś z metryki stała się na przyszłość miarodajna w podobnych okolicznościach.

Jak na trzy miesiące zatem, to chyba dość już powikłań wywołał eliksir młodości w dziedzinie polityki. Cóż dopiero mówić o zmianach, jakie zaszły pod jego wpływem w stosunkach towarzyskich?

Coraz większą rzadkością stawała się osoba starsza w salonach, na zabawach, koncertach i w teatrach. Publiczność, zebrana na wyższych piętrach teatrów podczas przedstawień baletowych, napróżno szukała w pierwszych rzędach krzeseł tych szeregów łysin, które przedtem sprawiały jej taką uciechę. Stoliki bridge'a opustoszały w klubach i na zebraniach prywatnych, dawni bowiem starcy garnęli się teraz do "flirtu, tańca, zabaw, huczących wesołością, oszalamiających ruchem.

I rzecz dziwna, że gdy przedtem mówiono, iż kobieta ma tyle lat, na ile wygląda, a pytać płęć piękną o lata uchodziło za najwyższy brak taktu, teraz wyłoniła się u pań moda kokietowania wiekiem. Gdy więc wicehrabia de Pompe Funebre, rozko-

chawszy się w margrabinie du Moulin Rouge, wyznał

jej miłość namiętą, to margrabina, wachlując łono alabastrowe, odparła mu z uśmiechem czarującym: — Ależ vicomte, jestem staruszką osiemdziesięcioletnią!

— Margrabino! — zawołał na to rozkochany młodzieniec — wszak Wenus medycejska, pomimo dwu tysięcy lat, jest zawsze bosko piękna i młoda!

Na odwrót — boć zawsze musi istnieć sprzeczność pomiędzy obu połowami rodu ludzkiego — odmłodzeni starcy, którzy dawniej nie taili bynajmniej lat swoich, teraz usiłowali ukryć wiek swój, pragnąc uchodzić za rzeczywiście młodych. Zwyczaj ten doprowadził nawet do zajęć zabawnych, bo oto, na przykład, odmłodzony generał Mars la Cave, odezwawszy się w najbliższym kółku przyjacielskim, znającym go doskonale:

— Gdy byłem ordynansem przy cesarzu Napoleonie III...

zaciał się, poczerwieniał i pragnąc zatrzeć te słowa, dodał:

... — tak opowiadał mi pewnego razu ojciec...

Towarzystwo było zbyt dobrze wychowane, aby parsknąć śmiechem w oczy odmłodzonemu wojakowi, panie jednak rozpostarły szybko wachlarze lub zaczęły pilnie wachać trzymane w rękach kwiaty, panowie zaś zagryźli wargi i pochyłili się ku paniom, jakby właśnie przypomnieli sobie, że mają im powiedzieć coś ważnego.

* * *

Bohusz nudził się już potrochu w Cannes i nie-

raz, kołysząc się w fotelu biegunowym na marmuro-

- -

wym tarasie willi w oczekiwaniu księżny, robiącej toaletę spacerową, poziewał ukradkiem lub, spoglądając na ciemny błękit rozciągającego się hen, w dole, morza Śródziemnego, przypominał sobie oczy Dziutki i uśmiechał się na myśl o wesołej dziewczynie. Gdy jednak ukazywała się Nina, to na jej widok ogarniała go znów próżność i krew uderzała do głowy na myśl, że ta wytworna i dumna wielka pani jest względem niego tylko słodką, omdlewającą kobietą, spragnioną zawsze pieśczo-ty. znów ulegał jej czarowi, i znów odzyskiwał humor pazia, dumnego z miłości królowej. Pewnego dnia, w drugiej połowie marca, przybywszy, jak zwykle, zrana do uroczej willi, ujrzał wstępując na schody tarasu, księżnę zaję-łą czytaniem listów, których kilka, już otwartych, leżało przed nią na trzcinowym stole. Tak była przytem zatopiona w czytaniu, że nie spostrzegła nadchodzącego. Dopiero, gdy stanął przy niej, podniosła oczy i wówczas Bohusz ujrzał, ku zdumieniu swemu, zamiast radosnego uśmiechu powitalnego, brwi ściągnięte, łzy perlące się na długich, czarnych rzęsach i drgające wzruszeniem wargi.

Po raz to pierwszy widział łzy w tych oczach, schylił się więc szybko, objął księżnę i zcałowując łzy, pytał zaniepokojony:

— Co się stało, na Boga?

Uśmiechnęła się lekko i, podając mu list, trzymany w ręce, szepnęła:

— Czytaj!

Był to list anonimowy, ohydny, jak wszelkie tego rodzaju elukubracje, zawiadamiający drwiąco

- —

księżnę, że napróżno się ukrywa, gdyż romans jej z wynalazcą eliksiru młodości znany jest aż nadto dobrze w kraju. Tu następował szereg żartów również złośliwych, jak grubjańskich.

— I warto było — zawołał wesoło, nie dokończywszy nawet czytania i drąc anonim — aby cudna moja pani gryzła się takim głupstwem.

— Jedyny! — odparła, wyciągając ku niemu obie ręce, z których zsunęły się obszerne rękawy koronkowe rannego szlafrocza.

— A jednak — dodała po chwili ze smutkiem w głosie, gdy całował te ręce—muszę jechać do kraju. Jak się okazało bowiem z listów, właśnie otrzymanych, sprawy rodzinne i majątkowe wymagały koniecznie powrotu księżny do ojczyzny. Bez wątpienia i list anonimowy, otrzeźwiwszy nieco księżnę, przyczynił się do tego nagłego postanowienia.

Ułożono zatem, że pojedą razem do Paryża, skąd zapraszano księżnę usilnie do współudziału w wielkim bazarze dobroczynnym, urządzanym w pałacu Trocadéro przez najwyższe sfery arystokratyczne na rzecz ofiar nowego, straszliwego wybuchu Wezuwjusza. Po kilkudniowym zaś pobycie w stolicy Francji księżna pojedzie do kraju, niestety, bez ukochanego, zdarzyło się bowiem tak—co jej zdaniem, było nawet trafem szczęśliwym ze względu na konwenanse światowe—że jego królewska mość, Karamelek X, wielki monarcha Indji północnych i południowych, zawiadomił telegraficznie

Towarzystwo P. B. E. Y., iż raczy przybyć osobiście do Paryża, aby odzyskać sprężystość, potrzebną dla rządu tyłu milionami poddanych, wiernych, wpraw-

- —

dzie do ostatniego tchu monarsze, ale potrzebujących troskliwego, ojcowskiego kierownictwa, majestat zaś jego królewski uznał, że zaszczytu przywrócenia sprężystości monarszej dostąpić może tylko tak wielki wynalazca z bożej łaski, jak prof. Bohusz, nie zaś pierwszy lepszy lekarz dworski.

Nawiasem mówiąc, pewien bezczelny dziennikarz paryski śmiał zaopatrzyć wiadomość powyższą w komentarz, dowodzący, jakoby wielkiego Karameleka znali już starzy paryżanie, gdyż często za czasów młodości przebywał długo w grodzie nadsekwańskim i prowadził w nim życie tak huczne, że w końcu stracił zdrowie, a- nawet raz zastawił w Mont de Piété klejnoty koronne, aby wrócić przystojnie ze świtą do ojczyzny. Należy więc przypuszczać, że, jeżeli teraz wielki Karamelek fatyguje się osobiście do prof. Bohusza, to z rozkoszną myślą odnowienia dawnych wspomnień, zanim odzyskaną energję zacznie stosować do poddanych.

Jak się można było spodziewać, słusznie obrzony do żywego ambasador jego królewskiej mości wymógł na cenzurze paryskiej konfiskatę świstka, który śmiał podać ten paszkwil.

* * *

Bazar dobroczynny na rzecz ofiar wybuchu Wezuwiusza zgromadził do pałacu Trocadéro tout Paris, tak żądny zabaw, w których występuje elita jego to-

warzystwa. Księżna zasiadła w towarzystwie kilku odmłodzonych i nieodmłodzonych pań z high life'u międzynarodowego w kiosku sprzedaży kwiatów, sama

jak kwiat wspaniały wśród tej kaskady barw i woni odurzających.

Asystował jej Bohusz, na co z taką zazdrością spoglądały panie z innych kiosków, ponieważ nazwisko słynnego wynalazcy ściągało do kwiatów tłumy ciekawych, a przed księżną piętrzył się już stos banknotów i złota, że w końcu do kiosku z kwiatami przybyła delegacja pań z najbardziej upośledzonych kiosków z prośbą, aby księżna udzieliła im swego asystenta kolejno, choćby na kwadrans, dla jakiego takiego wyrównania dochodów.

Księżna nie mogła, naturalnie, odmówić tej prośbie i Bohusz wracał właśnie do jej kiosku z takiej wycieczki dobroczynnej, gdy nagle usłyszał głos znajomy i, zwróciwszy w tę stronę oczy, ujrzał—Dziutkę, idącą w towarzystwie eleganckiego, przystojnego młodzieńca i rozmawiającą z nim wesoło.

Na ten widok stanął przy stole księżny, jak wryty, a rumieńce zakłopotania na twarz mu wystąpiły, bo Dziutka, jak zawsze śliczna, wiotka i szykowna, spostrzegła go także i podchodziła prosto do kiosku z kwiatami.

Z przykrej tej sytuacji wybawiła swego asystenta księżna, gdyż, przypomniawszy sobie spotkanie w dworcu Bohuszowym, skinęła uprzejmie głową rzekomej pacjentce profesora. Wówczas i Bohusz uklonił się Dziutce i, gdy wzięwszy z rąk księżny różę, rzuciła

na stół banknot pięćsetfrankowy, uczynił krok na-przód, aby podać jej rękę. Ale Dziutka spojrzała na niego drwiąco i rzekła głośno po polsku:

— Nie myślę konkurować ze staremi babami! — poczem wykręciła się na obcasie i odeszła ze swym młodzieńcem.

Bohusz oniemiał, a brwi Niny zmarszczyły się gniewnie. Trwało to jednak tylko mgnienie oka. Wszak dzisiaj stało się modą u odmłodzonych pań szczyścić się wiekiem, ta zaś, która rzuciła jej słowa tak ordynarne, sama przecież wyznała jej, że liczy lat dziewięćdziesiąt!

To też, ku zdziwieniu Bohusza, nie rozumiejącego kobiecego toku myśli, księżna roześmiała się serdecznie.

— Jakże zabawnie — rzekła — brzmią takie słowa w ustach staruszki dziewięćdziesięcioletniej!

— I zawiedzionej miłości! — dodał Bohusz, pokrywając tem kłamstwem zakłopotanie własne.

— Ah, więc i ona?—szepnęła Basztańska, a oczy jej spojrzały wdzięcznie na wynalazcę.

Byłe jak wytłumaczono zajście paniom, siedzącym w kiosku i zapanowała znów śród kwiatów gawędka wesoła. Lecz Bohusz tak się zgrzał w ciągu tych kilku minut, jakgdyby przetańczył z księżną kilka tourów walca dokoła olbrzymiej sali. Pragnął więc ochłonać i właśnie obmyślał pretekst wymknięcia się z towarzystwa, gdy ujrzął przechodzącego członka rady zarządzającej i jednego z twórców Towarzystwa P. B. E. Y., Legranda.

Przeprosiwszy tedy księżnę i jej towarzyszkę,

pospieszył ku paryżaninowi i ujął go pod rękę. Ucieszony spotkaniem, Legrand wprowadził wynalazcę w tłum rozochoczonej atrakcjami bazaru publiczności.

— —

— Kto to jest?—spytał Bohusz, aby zacząć rozmowę, bo nie kleiły mu się jakoś słowa — wskazując głową w kierunku uderzającej piękną niezwykłą brunetki o postawie majestatycznej.

— Jak to?—rzekł, śmiejąc się Legrand — nie poznajesz, profesorze, odmłodzonej twoim eliksirem królowej Montebianco, jednej z najpiękniejszych dziś kobiet w Europie?

A rozejrzawszy się po sali, zawołał:

— *Quel triomphe, cher ami, quel triomphe épatant! Regardez donc, on dirait un congrès des rois en exil!*

Zainteresowany tytułem znanej powieści Daudeta, Bohusz rzucił okiem po sali, a Legrand wskazywał mu i wyliczał odmłodzonych królów na wygnaniu, którzy istotnie zgromadzili się na bazarze w znacznej liczbie i flirtowali zawzięcie przy bufetach i w kioskach. Wymieniane jednak bez końca przez gadatliwego paryżanina nazwiska osób wybitnych, spotykanych podczas tej przechadzki, zaczęły prześlizgiwać się niesłyszane po mózgu Bohusza, zajętym znów myślami o nagłym zjawieniu się Dziutki w Paryżu i słowach, rzuconych przez nią księżnie.

Nie ulega wątpliwości — wnioskował — że do Dziutki także doszły drogą okólną wieści o romansie jego z księżną i że znudzona czekaniem, a także ura-

żona w dumie własnej tancerka, znalazłszy nowego wielbiciela, przybyła z nim do Paryża, trafiając na ów bazar nieszczęsny.

Przypuszczenia te były słuszne, istotnie bowiem, dowiedziawszy się w znającym wszystkie tajemnice

- -

zakulisowe wielkiego świata, świątku teatralnym o romansie „swego profesora”, Dziutka odczuła to dotkliwie, ale gdy nawinął się jej również hojny, a przytem prawdziwie młody syn znanego bankiera, przyjęła bez namysłu propozycję wspólnej wycieczki do Paryża i Monte Carlo. Spotkawszy zaś przypadkiem Bohusza u boku księżny na bazarze, nie mogła odmówić sobie satysfakcyi wytknięcia odmłodzonej „Starej Baszcie” jej wieku.

— Chodźmy co wypić, Legrand — odezwał się wreszcie zdenerwowany, w umyśle bowiem jego huczały wciąż jeszcze drwiące słowa Dziutki.

— A la bonne heure!—zawołał paryżanin. — Nareszcie przemówiłeś, profesorze! Chodźmy, a przy sposobności złożymy wizytę Liane.

Przy tych słowach, skierował kroki ku niedalekiemu bufetowi z winem szampańskim, za którym królowała gwiazda jednego z teatrów bulwarowych, Liane de Puy, w roli szynkarki musującego napoju.

— Ah, Legrand—zawołała poufale, spostrzegłszy podchodzących — nareszcie raczyłeś mnie odwiedzić! Jednocześnie wyciągnęła, poprzez grono mężczyzn w strojach wieczorowych, rękę w długiej, białej rękawiczce, pobrzękując pęczkiem modnych breloków-amuletów, zwieszających się u drogocennej branso-

lety. Legrand ucałował z galanterją rękę aktorki i, okrążywszy bufet, podszedł do jej krzesła, ciągnąc za sobą Bohusza.

— Przyrowadzam ci — mówił — gościa niezwykłego. Profesor Bohusz.

- -

— Co za niespodzianka! — zawołała Liane radośnie, ściskając dłoń gościa. — Jakże szczęśliwa jestem, że nareszcie mogę poznać tak wielkiego uczonego! Spełniłeś, Legrand—dodała, zwracając się do paryżanina—dobry uczynek, przebaczam ci więc za to wszystkie grzechy i ofiaruję kieliszek wina.

— Przepraszam — zaprotestował Legrand — przybyliśmy tu właśnie po to, aby wypić po kieliszku z twoich rąk, Liane, bo jesteśmy bardzo spragnieni, teraz więc nasza kolej. Proszę o trzy kieliszki, gdyż nie wątpię, że urocza markietanka trąci się z nami na rzecz biednych.

— Niechaj tak będzie—rzekła Liane i naląła trzy kieliszki. Trącono się. Bohusz i Legrand wypili swoje, aktorka zaś umaczała usta w swoim i postawiła go na bufecie.

W tej chwili jeden z wyfrakowanych mężczyzn, przywitawszy się z Legrandem i przedstawiwszy się Bohuszowi, jako „baron” Golder, założywszy ruchem charakterystycznym wielki palec lewej ręki w otwór pachowy kamizelki, rzekł, wydawszy tłuście wargi i wskazując na niedopity kieliszek Liane:

— Ten kieliszek wart jest teraz dla mnie dziesięć ludwików!

— Dwadzieścia dla mnie! — odezwał się jeden

z jego sąsiadów.

— Dwadzieścia pięć!—zawołał inny.

— Pięćdziesiąt! — wtrącił, podwajając sumę,
Bohusz.

Liane spojrzała na niego rozradowana.

— No, to ja—wycedził dumnie, bębniąc czterema
palcami lewej ręki po kamizelce, baron Golder — daję
sto ludwików i kieliszek jest mój.

Przy tych słowach, pewny siebie, wyciągnął rękę
po wino, ale Liane zasłoniła szybko kieliszek, w tejże
bowiem chwili z ust Bohusza padło:

— A ja tysiąc!

Wszyscy obecni otworzyli szeroko oczy, jedno-
cześnie wszakże rozbuwane szybkim ruchem ręki breloki,
wiszące u bransolety aktorki, zaczepiły mocno o brzeg
kieliszka. Kieliszek przechylił się, uderzył cieniutkiem
szkłem o srebrną wanienkę z lodem i pękł, a złoty,
musujący płyn rozlał się po bufecie.

— No, teraz—zawołał Golder—kieliszek ten nie
jest już wart nawet franka!—i roześmiał się głośno, nie
wiadomo, czy z radości, że uniknął nieprzyjemnej po-
rażki, czy też, że uważał słowa swe za bardzo dowcipne.

— Za pozwoleniem—odparł Bohusz—w ten spo-
sób ofiary wybuchu byłyby pokrzywdzone. Czy masz
pióro, Legrand?

Zapytany podał mu pióro wieczne. Bohusz otwo-
rzył wydobytą z kieszeni książeczkę czekową, wypisał
czek na sumę dwudziestu tysięcy franków i podał go
zdumionej i uradowanej markietance.

— Nigdy chyba jeszcze — zawołała zarumienio-

na—nie zapłacono tak drogo za kieliszek rozbity i to nie z własnej winy!

Ale Bohusz już się żegnał, tłumacząc się potrzebą wrócenia do pań swoich. Liane spojrzała na niego z wymówką i przez dłuższą chwilę trzymała dłoń jego w swojej.

— Spodziewam się—rzekła wreszcie—ujrzeć profesora u siebie. Przyjmuję we czwartki.

Gdy oddalili się już od bufetu, Legrand rzekł do Bohusza:

— Widziałem, że sprawiłeś na Liane wrażenie, ale strzeż się, bo to niebezpieczna kobieta.

— Ah, nie dla mnie!—zaśmiał się Bohusz lekceważąco, choć myśl jego powracała już do oryginalnej postaci aktorki.

Liane nie odznaczała się pięknnością. Nos miała za długi, usta za szerokie, szczęki wystające, tak, że twarzy jej brakło owalu, poza tem wysmukła jej postać, chuda i płaska, robiła raczej wrażenie podlotka, niż kobiety zupełnie rozwiniętej. Ozdobę jej zato stanowiły ogromne, ciemno-rude włosy, pod ciężarem których zdawała uginać się jej cienka szyja, a które, bez względu na modę, nosiła splecione w dwa warkocze i owinięte dokoła głowy. Gdy się uśmiechała, wśród warg jej czerwonych ukazywały się dwa rzędy zębów dużych, ale równych i białości olśniewającej. Płeć delikatna, jak zwykle u kobiet rudych, uderzała także białością niezwykłą. Co jednak najbardziej drażniło mężczyzn, to dziwna sprzeczność pomiędzy jej blado-niebieskimi, dużymi oczyma o wejrzeniu pełnem

naiwności dziecięcej, harmonizującym niejako z jej kształtami podlotka, a wyrazem ust, jakby nabrzmiałych zmysłowością.

I Bohusz rozmyślał jeszcze nad tem, gdy podeszli do kiosku kwiatów.

— Gdzież panowie bawili tak długo? — spytała księżna przedstawionego sobie Legranda.

— Wtajemniczałem — odparł wesoło zapytany — księżno, profesora w życie paryskie i przy tej sposobności stałem się świadkiem ciekawej licytacji.

Tu opowiedział zajście przy bufecie Liane.

— Very gentlemanly Indeed! — zawołała księżna, obrzucając Bohusza radosnem spojrzeniem aksamitnych oczu.

I znów znajdował się pod magnetycznym ich urokiem, tak, że zapomniał nawet o impertynenckich słowach Dziutki.

Lecz już w trzy dni później księżna, odprowadzona przez Bohusza aż do Compiègne, wyjechała do kraju, obiecując zjechać się w czerwcu z ukochanym w Biarritz.

VII

OSTATNI ROMANS.

Jasna zieleń wiosenna okryła skwery i parki paryskie. Czuć było radość w powietrzu, czuł ją też Bohusz, gdy wczesnym rankiem jednego z pierwszych, cudnych dni kwietnia wybrał się konno do lasku Bułońskiego.

Cicho było jeszcze w obszernych, wspaniałych alejach, przecinających się żółtawymi szlakami, na które padał już koronkowy cień młodych liści.

Lekkim galopem pisał przepyszny anglo-arab, przebierając nogami, jak w tańcu i parskając wesoło, a Bohusz klepał dłonią szyję łabędzią pięknego stworzenia, gdy nagle, zataczając łuk przed Kaskadą, jeździec nasz spostrzegł na werandzie kawiarni samotną postać kobiecą i, podjechawszy bliżej, poznał w niej Liane de Puy, o której zapomniał już był prawie zupełnie.

I ona widocznie wybrała się na wczesną przejażdżkę wiosenną, ubrana bowiem była w amazonkę, a przed werandą chłopiec przeprowadzał konia z siodłem damskim. Teraz zaś, zdjawszy czarny kapelusz filcowy do konnej jazdy i rzuciwszy go razem ze szpicrutą i rękawiczkami na krzesło, raczyła się w ciszy ra-

- -

dosnego poranka wiosennego mlekiem, którego wysoka szklanka stała przed nią na stole.

Gdy Bohusz, nieco zażenowany, przypomniał bowiem sobie, że obiecał być u niej we czwartek, uchylił, przejeżdżając przed werandą, kapelusza, skinęła uprzejmie głową i otworzyła usta, jakgdyby miała mu coś powiedzieć. Wówczas zeskoczył lekko z siodła, oddał konia podbiegającemu chłopcu i podszedł do Liane.

Wyciągnęła ku niemu szczupłą, niezwykle białą rękę, a blade - niebieskie oczy powitały go uśmiechem naiwnie dziecięcym.

— Czy mogłem się spodziewać — rzekł, całując

dłoń podaną—że zastanę tu właśnie panią o tej wczesnej godzinie porannej?

— Lubię niezmiernie — odparła — jazdę konną i, gdy tylko scena mi na to pozwala, wymykam się, jak dzisiaj, na przejażdżkę samotną.

— Może więc przeszkadzam?

— Quelle idée! — zaprotestowała żywo, a oczy jej posmutniały i spojrzały na niego z wymówką.

— Ja tak oczekiwałam na pana we czwartek! — dodała cicho.

Siedziała teraz naprzód pochylona, założywszy nogę na nogę i, objąwszy kolano splecionymi rękoma, co jeszcze bardziej zwiężało jej piersi szczupłe. W tej postawie, z niewinnie wzniesionymi ku Bohuszowi oczyma i z grubymi warkoczami, otaczającymi głowę jej, nieco w bok przegiętą, sprawiała jeszcze bardziej wrażenie dziewczynki, nie zaś kobiety dojrzałej. Tylko

nieco uchylone wargi purpurowe, mięsiste, zdawały się płonąć wśród tej białej twarzy.

Bohusz nachylił się ku niej, kołysząc pejcz w rękach, opartych na kolanach.

— Więc istotnie — spytał — tak pani zależało na mojej obecności?

— A jeżeli powiem, że bardzo? — odparła, ukazując w uśmiechu zęby olśniewające.

I nagle zmieniła postawę, oparła łokcie na stole, a na splecionych rękach policzek i patrzyła na niego z figlamością dziecięcą.

— W takim razie — zawołał — żałuję niewymownie, że stracił ten wieczór i przepraszam gorąco!

— To nie dosyć—rzekła przekornie. — Za grzech musi być pokuta.

— Przyjmuję ją z góry!

— A zatem jutro, o tej samej porze, tutaj!

— To nie pokuta — zaśmiał się — to więcej niż przyjemność.

— Mówi pan szczerze?

— Bardzo szczerze!

— W takim razie i ja będę szczerą.

Przy, tych słowach, ujęła bukiet fijołków, zatknięty za górszem, dotknęła go ustami i nachyliwszy się tak, że ciężkimi warkoczami musnęła wąsy Bohusza, przypięła mu bukiet do butonierki rajtroka.

— Ah, madame—zaczął, drgnąwszy pod dotknięciem jej włosów.

Nagłym ruchem podniosła głowę i spojrzała na niego oczyma proszącego dziecka.

— Dites: Liane! Tout simplement Liane!—nalegała kokieteryjnie.

— Soit! — odparł wesoło — Que vous etes charmante, petite Liane! — i podniósłszy do ust jej rękę, ucałował ją gorąco.

— C'est ça! — śmiała się radośnie, po chwili wszakże, spojrzawszy szybko na zegarek w bransoletce, krzyknęła głosem wystraszonym:

— Mój Boże, byłabym zapomniała o próbie!

Jedziemy razem, nieprawdaż?

Bohusz wrócił do domu odurzony. Wprawdzie, gdy ochłonął nieco, przypomniały mu się słowa ostrzegawcze Legranda, cóż jednak znaczą takie ostrzeżenia,

gdy mężczyzna oczarowany jest przez kobietę? To też dzień ten wydawał mu się długi niezmiernie, a następnego poranka znalazł się pierwszy w kawiarni przy -Kaskadzie i uderzał niecierpliwie pajczem o nogę, czekając na Lianę, a gdy ukazała się niezmiernie szykowna w każdym szczególe, jak nią potrafi -być tylko paryżanka, podbiegł i zsadził ją z konia.

Tak szybko minął mu i ten poranek słoneczny, tak czarowała go każdym spojrzeniem oczu niewinnych, każdym uśmiechem pałających warg purpurowych, każdym ruchem dziewczęcej postaci, to nagłym, jakby automatycznym, to leniwym, giętkim, jakby węzowym, że nie umawiali się już o spotkanie następne. Ona czuła, że Bohusz przyjedzie, on — że przyjechać musi. W boczną aleję cieniastą, pachnącą jeszcze wilgocią ziemi, skręciły dnia tego ich konie. Jechali stępą, tak blisko siebie, że konie ocierały się prawie bokami.

Gdy rzucił okiem na jej twarz, na którą padały refleksy jasnozielone młodych liści wiosennych, zaróżowioną zlekka przez jazdę, na oplatającą jej głowę, ciężkie warkocze ciemnorude — przypomniały mu się nimfy böcklinowskie i wyobrażał sobie, jak wyglądałyby, gdyby rozplotły się te włosy, a wiatr rozpostarł je płaszczem wspaniałym. I coraz bardziej przejmował go czar tego wiosennego sam na sam, ogarniającego zmysły, uderzającego falami krwi do głowy.

Przechylił się nagle ku niej na siodle, objął zlekka w pół i szepnął:

— Bądź moją, Liane!

— Już nią jestem — odparła spokojnie, jakgdyby

spodziewała się tego wezwania, głowa zaś jej przechyliła się na jego ramię, nadstawiając do pocałunku' rozchylone, nabrzmiałe wargi purpurowe...

Bohusz szalał.

Żadna jeszcze kobieta nie wywołała w nim miłości tak namiętnej i oślepiającej. Nie widział nic poza tą syreną rudowłosą i szedł w jej ramiona, nieczuły na wszystko, jak owi rycerze z bajek.

Upłynął zaledwie tydzień od tej tak słodkiej dla niego chwili, a już śliczny, zbytkownie urządzony pałacyk „entre cour et jardin”, w okolicy pól Elizejskich, przeszedł na własność aktorki. Bohusz otoczył ją tam przepychem takim, że nawet w przyzwyczajonym do tego rodzaju wybryków nowoczesnym Babilonie, zaczęto opowiadać cuda o wspaniałych zaprzęgach, kosztownych samochodach, toaletach i klejnotach Liane de Puy, a teatr, w którym występowała teraz tylko od czasu do czasu, jedynie dla zachowania

decorum artystki i dla dogodzenia własnej fantazji, wykupiony był na każde przedstawienie przez tłumy, żądne przyjrzenia się głośnej czarodziejce i jej strojom, tworzącym modę.

Tam też spędzał Bohusz, u stóp ubóstwianej, wszystkie chwile wolne od zajęć w zarządzie Towarzystwa P. B. E. Y. lub odmładzania jego królewskiej mości Karameleka X, który już w drugim tygodniu leczenia raczył mianować go wielkim wezyrem i. p. i. z prawem noszenia munduru, ozdobionego haftem brylantowym wartości miliona franków (oczywiście, haft ten należało sprawić własnym kosztem), a także innych

głów ukoronowanych i mitrowanych, uznających, że tylko wielki wynalazca godzien jest zaszczytu przywracania młodości ich ciałom dostojnym.

W ten sposób minął miesiąc. Przez ten czas nadszedł od księżny, w parę tygodni po jej odjeździe, list tylko jeden, ale pełen tęsknoty i wynurzeń miłosnych. Czytając go, Bohusz ujrzał znów to aksamitne spojrzenie cudnych jej oczu, działających na niego tak magnetycznie i pod wpływem pierwszego wrażenia, oraz jakby wyrzutu względem tej kobiety, tak mu oddanej, bez względu na stosunki towarzyskie i rodzinne, odpisał na list również serdecznie, choć natychmiast po wrzuceniu go do skrzynki pocztowej pojechał do Liane.

Jeżeli drugi list nie nadszedł, to nie dlatego, aby księżna ochłodziła względem Bohusza. Tęskniła do niego bardziej, kochała głębiej, niż mógł przypuszczać. To nie był już kaprys, lecz uczucie, które stało się treścią jej życia. Po paru więc tygodniach rozłąki, do-

szła do przeświadczenia, że bez ukochanego żyć nie może, postanowiła więc wprost mu to powiedzieć, ofiarować rękę swą na zawsze.

Czy ją przyjmie? Duma rodowa, duma własna nie pozwoliły jej wątpić o tem ani na chwilę. Zresztą ileż razy podczas wspólnego pobytu w Cannes nazywał ją na poły żartem swoją jaśnie oświeconą księżną lub królową, ileż razy spostrzegła, że ta miłość mu schlebia. Zrobi mu zatem niespodziankę. Jaknajprędzej załatwi interesy majątkowe, pojedzie do Paryża i sama zaproponuje mu ulegalizowanie ich związku. Wyobra-

żała już sobie nawet z jaką radością przygarnie ją do szerokiej piersi męskiej i nazwie swoją, naprawdę już swoją na zawsze, księżną, królową. I powie to szczerze, boć, będąc dziś najślynniejszym człowiekiem na świecie i posiadając majątek ogromny, ani o zaszczyty, ani też o jej majątek dbać nie potrzebuje.

Nieprzyjemność wprowadzie sprawiała jej myśl o wrzawie, jaką ten jej mezaljans wywoła wśród kół arystokracji, a zwłaszcza, jak jej rodzina ośmieszy, w obawie nowych spadkobierców, ten związek dwojga odmłodzonych starców, cóż jednak znaczyła ta nieprzyjemność w porównaniu do pożerającego ją uczucia, dla którego gotowa była na wszystko?

Załatwiwszy więc jak najspieszniej interesy majątkowe, wyjechała, nie zapowiadając nikomu swej podróży, wprost z zamku leśnickiego do Paryża i stanęła tam pod koniec kwietnia, pełna radości i nadziei, we własnym, wytwornym mieszkaniu, wynajętym podczas ostatniej bytności nad Sekwaną.

- —

Wieczór nadszedł, zanim zdołano rozpakować część kufrów i zanim odświeżona po podróży, mogła z bijącym sercem zatelefonować do Bohusza, odpowiedziano jej jednak, że profesora niema w domu i że zapewne nie prędko wróci.

Rozczarowana i zawiedziona, rzuciła słuchawkę telefonu, rozmyślając, jak spędzi resztę wieczora, gdy nagle przypomniała sobie, że kuzynka jej, młoda hrabina Stade, spędziwszy z mężem zimę na Rivierze, miała zatrzymać się w Paryżu aż do vernissazu w Salonie. Zatelefonowała więc do hotelu, w którym hra-

biostwo zwykle stawali i dowiedziawszy się, że są tam istotnie, kazała zapowiedzieć swą wizytę.

— Ciotuchna w Paryżu — zawołała, ujrzawszy wchodzącą, hrabina Stade, od dzieciństwa nazywająca księżną ciotką, pomimo dalekiego tylko pokrewieństwa.

— Przyjechałam — odparła szybko księżna — wcześniej, niż sądziłam, z powodu interesów majątkowych. Ale, jak widzę, jesteście ubrani do wyjścia, nie chciałabym więc was krępować.

— Bynajmniej, ciotuchno, bynajmniej — zaprotestowała żywo hrabina. — Mamy lożę do opery na występ słynnego Rodrigueza, zabieramy więc ciotuchnę z sobą i kwita!

— Ależ—broniła się księżna—nie jestem ubrana, nie spodziewałam się tego!

— Ciotuchna jest teraz — zawołała hrabina, całując księżną—taka cudna, że w pierwszej lepszej sukni królować będzie wszędzie. Niechże więc nie da się prosić i jedzie z nami.

— Doprawdy — rzekła księżna, podchodząc do zwierciadła i poprawiając wspaniałe, krucze włosy — wdzięczna wam jestem za te zaprosiny, bo nie wiedziałam istotnie, co z wieczorem robić.

Gdy weszli do loży, hrabia usiłował namówić zaproszoną, aby siadła obok jego żony, księżna jednak, spostrzegłszy wszędzie wspaniałe stroje balowe, ani słyszeć nie chciała o tem i zajmąwszy miejsce w fotelu, stojącym w zacienionym kącie loży, oświadczyła stanowczo, że się stamtąd nie ruszy.

Orkiestra grała już uwerturę, gdy w jednej z łóż

dotychczas pustych, z przeciwnej strony widowni, stała postać niewieścia w prawdziwie królewskim płaszczu gronostajowym.

— Liane de Puy! — szepnęła hrabina.

— Ah, ta aktorka — odparła księżna i zwróciła lornetkę ku przybyłej.

A Liane, zrzuciwszy z ramion płaszcz na poręcz krzesła, ukazała się w sukni głęboko wyciętej, podtrzymywanej tylko przez wąskie przepaski na ramionach, olśniewająca białością szczupłego ciała o kształtach podlotka i połyskiem klejnotów.

— Mais elle est presque nue! — zawołała szeptem zgorszona hrabina.

Księżna nie odpowiedziała, gdyż serce jej zakolało, jak młotem, a policzki okryły się rumieńcami gorącymi, w tej chwili bowiem za krzesłem Liane stanął Bohusz.

— Profesor Bohusz — szepnęła hrabina.

Księżna przyłożyła szybko lornetkę do oczu, aby ukryć rumieńce. I hrabina przyglądała się pilnie Bo-

huszowi, słyszała bowiem o stosunku jego z księżną i mimowoli z ust jej wyrwał się cichy okrzyk:

— Co za piękny mężczyzna!

Księżna Basztańska uśmiechnęła się, usłyszawszy te słowa, istotnie bowiem, rozpromieniony, wytworny w stroju wieczorowym, z tą głową wspaniałą Antinouse, o zaroście złocistym, odcinającym się od białego gorsu koszuli, wyglądał dzisiaj niezwykle pięknie. Lecz sala pociemniała nagle i podniosła się zasłona sceny.

Hrabia wymógł teraz na kuzynce, aby siadła obok

jego żony na przodzie łoży.

Wobec ciemności, panującej na widowni, zgodziła się w końcu na to. Była już zupełnie spokojna, a nawet czuła wielką radość wewnętrzną i dumę, że ukochany jej wywarł tak silne wrażenie nie tylko na kuzynce, ale wśród publiczności, widziała bowiem, jak ze wszystkich łóż skierowały się ku niemu lornetki.

Nie odczuwała przytem żadnej zazdrości. Zbyt była dumna, zbyt pewna wyższości nad tą aktorką i miłości Bohusza, aby uczucie to mogło pomieścić się w jej sercu. Zresztą tak przywykła, że w jej sferach nieraz podtatusiali, a nawet starzy mężowie posiadają znane wszystkim przyjaciółki, nie mącąc przez to harmonji życia małżeńskiego, iż uważała za całkiem naturalne, aby i ten człowiek, tak bogaty, a co więcej, posiadający talizman młodości, nie odmawiał sobie również takiej zabawki.

Grzmot oklasków powitał wchodzącego na scenę słynnego śpiewaka o torsie atlety, udach, jak u konia, i ruchach rubasznym cyrkowca. Śpiewał jednak rzeczywiście porywająco, to też zasłuchana księżna za-

- -

pomniała niemal o otoczeniu. Od czasu do czasu wszakże oczy jej padały w stronę łoży Bohusza. Lecz łoża spowita była mrokiem. Czasami tylko błysnęły w niej, jak kocie oczy, brylanty Liane pod wpływem światła, płynącego ze sceny.

Śpiewano operę znaną powszechnie, gdy więc zbliżał się koniec aktu, księżna przesiadła się na dawne miejsce w kąciku łoży.

Zabłyły światła, poruszyła się publiczność.

Do loży Bohusza weszło kilku mężczyzn. W jednym z nich Basztańska poznała Legranda i przypomniała sobie licytację o kieliszek szampana przy bufecie Liane podczas bazaru dobroczynnego.

— Poznał ją wówczas!—pomyślała.

Tymczasem towarzystwo z loży Bohusza przeniosło się do saloniku poza nią i tylko od czasu do czasu w uchylonych drzwiach migotała szczupła biała postać Liane lub którego z mężczyzn.

Hrabina przysiadła się do księżny i, wskazując wzrokiem na ową lożę, powróciła do przerwane go tematu, jakby pragnąc dowiedzieć się czegoś o Bohuszu z ust ciotki:

— Wie ciotuchna, że on wprost szaleje za tą aktorką!

— Cóż znowu! — oburzyła się księżna. — Szaleje, ce n'est pas le mot, chérie. Zadurzony jest, bawi się i tyle. To tak zwykle u mężczyzn!

Młoda kobieta spojrzała zaniepokojona na małżonka. Księżna spostrzegła to i dodała z uśmiechem:

— Oh, niema przecież reguły bez wyjątków!

- - -

— No, bo niech sobie ciotuchna wyobrazi—trzepotała hrabina — ofiarował jej pałac, cały umeblowany, najpiękniejszą w Paryżu czwórkę koni, a brylanty, to ciotuchna widziała.

— Cóż dziwnego — odparła księżna obojętnie — posiada dochody olbrzymie i jest samotny, może więc pozwolić sobie na takie wybryki.

— Ale co najciekawsze z tego wszystkiego—mówiła dalej młoda mężatka — to zaślepienie mężczyzn.

Niech sobie ciotuchna wyobrazi, że Liane już go zdradza. Księżna pobladła.

— Zdradza go? — powtórzyła, nie dowierzając uszom.

— A jakże, z tym właśnie Rodriguezem, którego słuchamy. Cały Paryż opowiada sobie głośno o tem, jeden tylko profesor Bohusz nic nie wie. Czy to nie zabawne, ciotucho?

Na szczęście, w tejże chwili odezwało się stuknięcie za sceną i światła na widowni pogasły, inaczej bowiem spostrzegłaby, że ciotka zacisnęła zęby, że wargi jej zadygotały, w oczach stanęły łzy, a ręce ruchem spazmatycznym zgięły złotą rękojeść lornetki. Nie przeczuwając tego, hrabina zadała cios straszny dumie wyniosłej kobiety.

Hrabia ustąpił znów kuzynce miejsca na przodzie łoża.

Księżna siadła tam, lecz myśl jej była daleka od sceny.

Przejmowało ją oburzenie takie, że krew tętniała w skroniach. Oburzenie to jednak nie było skierowane do Bohusza. Przeciwnie, współczuła mu głęboko, przej-

mowała zaś ją oburzeniem niepohamowanym myśl, że ta bezczelna aktorka, którą jej, księżny, wybraniec serca, a prawie że już narzeczony i mąż, obdarza względami, otacza zbytkiem królewskim, śmie go zdradzać, ośmieszać przed ludźmi. Uważała czyn ten za potworny, za postępowanie haniebne, któremu kres położyć musi.

— Czy ciotuchna uważa—szepnęła hrabina z poza

wachlarza — jak on strzela do niej oczyma?

Istotnie, w tej chwili Rodriguez, śpiewając jakąś arję patetyczną, wystawił pierś naprzód, przycisnął ją tłustymi rękoma i kręcąc torsem, wyrzucał z siebie tony bajeczne, a wypukłe, czarne jego oczy rzucały spojrzenia ogniste w stronę łoża Liane.

— Co za bezczelności—pomyślała do głębi wzburzona i zatopiła się w obmyślaniu sposobów ujawnienia tej zdrady. Narazie nic wymyśleć nie zdołała, zaślepiona jednak, choć logiczna w swym toku myślenia, cieszyła się już, że zrzuci bielmo z oczu ukochanego i uwolni go od niecnej kochanki.

Reszta przedstawienia stała się dla niej prawdziwą męczarnią i ani na śpiewaka, ani też na Liane już patrzeć nie mogła, ale nauczona przez wychowanie i stosunki światowe uprzejmości nawet w chwilach najprzykrzejszych, zdołała się opanować, rozmawiała z gadatliwą hrabiną o wszystkim i o niczym, a nawet, przy pożegnaniu, zdobyła się na serdeczne podziękowanie za „tak mile” spędzony wieczór. Powróciła jednak do domu z szalonym bólem głowy i dopiero po zażyciu proszków uspakajających, zdołała zasnąć.

Nazajutrz pierwszą jej myślą było zatelefonować do Bohusza, pragnęła bowiem ogromnie mieć go już przy sobie. Opanowały ją wszakże wątpliwości. Czuła, że nie wytrzyma i, ujrzawszy go, wystąpi z oskarżeniem przeciwko Liane. Jeżeli zaś on nie tylko nie uwierzy temu, ale oburzy się i obrazi? Wówczas nie pozostanie jej nic innego, tylko ustąpić przed nim, przeprosić i patrzeć w milczeniu, jak Paryż w dalszym ciągu

naigrawać się będzie z naiwności profesora. Zaniechała więc tej myśli. Musi najpierw ujawnić mu zdradę aktorki, dowieść mu jej naocznie, a dopiero wówczas powita radośnie ukochanego i gdy nadarzy się sposobność wyzna mu, że to ona wybawiła go od ośmieszania się przez tą kokotę! Ale jak to zrobić, jak się zabrać do tego?

Biła się z temi myślami przy śniadaniu, przeglądając machinalnie Matina, gdy nagle oczy jej padły na następujące ogłoszenie:

„Agence Detecto. Recherches, surveillance, affaires conjugales. Discretion garantie" ...*).

— Doskonale!—zawołała prawie głośno, wydarła ogłoszenie z dziennika, zadzwoniła na pannę służącą i, ubrawszy się szybko, pojechała pod wskazanym adresem.

Na schodach jednak, wiodących do biura agencji, przejął ją lęk nieokreślony. Nigdy w życiu nie miała do czynienia z instytucjami tego rodzaju, a jeżeli co o nich wiedziała, to ze słynnych opowiadań Conana

*) Agencja Detecto. Poszukiwania, nadzór, sprawy małżeńskie. Dyskrecja zapewniona...

Doyle'a i romansów paryskich. Uczuła nawet odrazę instynktowną do tego lokalu, którego próg miała przekroczyć. Gdy wszakże przypomniała sobie tę na poły nagą aktorkę, olśniewającą białością ciała i połyskiem klejnotów, a zdradzającą jej ukochanego i wystawiającą go na śmiech Paryża — porwał ją gniew taki, że już bez wahania zadzwoniła do drzwi, na których widniała

tabliczka agencji.

Wpuszczona do poczekalni, zasiadła na krześle, ale w tejże chwili otworzyły się drzwi od drugiego pokoju i stanął w nich mężczyzna barczysty, o brwiach nawisłych, oczach badawczych, czarnym wąsie sumiastym i rękach żyłastych.

— Madame... — rzekł, kłaniając się nisko na widok dystygowanej kobiety i ruchem ręki zaprosił przybyłą do swego gabinetu.

— Czem mogę służyć? — spytał uprzejmie, gdy zasiadła na fotelu, przy wielkim biurku, zawalonym papierami.

Księżna przez dłuższą chwilę milczała, nie mogąc sformułować swego żądania.

— Niech pani będzie szczerą — ośmielał detektyw. — Sprawy, nam powierzane, są tajemnicą. Jeżeli zaś chodzi pani o referencje, to proszę.

Przy tych słowach, podał jej teczkę, zapelnioną dokumentami.

— Dziękuję — odparła, biorąc machinalnie teczkę, ale nie zaglądając do niej wcale, chciała bowiem jak najprędzej wyjść z tego pokoju i pozbyć się przytłaczającego ją ciężaru.

— —

— Mój kuzyn — wykrztusiła szybko. — Zresztą nie! Powiem otwarcie: mój narzeczony ma romans ze znaną tu aktorką. Ona go zdradza. Wszyscy o tem wiedzą, tylko on jeden tego nie widzi.

— Jak zwykle — wtrącił detektyw.

— Otóż, zależy mi na tem, aby mógł przekonać się naocznie o jej zdradzie, aby nareszcie przestał się

ośmieszać.

— A zatem chodzi o to, aby schwytać ją na gorącym uczynku.

— Tak.

— Hm, to da się zrobić, ale zwykle połączone jest z dość znacznymi kosztami.

— Pieniądze nie grają tu roli — odparła szybko księżna i, otworzywszy woreczek, położyła na biurku paczkę banknotów tysiącfrankowych.

Ujrzawszy tak znaczną sumę, detektyw uniósł się na fotelu i skłonił nisko.

— Drugie tyle—dodała księżna — dam, gdy sprawa będzie załatwiona.

— Wobec tego — zawołał agent i pochwycił gorliwie za pióro—załatwimy tę sprawę przed wszelkimi innymi i nie wątpię, że ku zadowoleniu pani. Ale, uprzedzam, musi pani zupełnie szczerze podać wszystkie dane, które nam będą potrzebne.

Gdy księżna wymieniła swe nazwisko, znów uniósł się na fotelu i złożył ukłon, poczem zaczął notować odpowiedzi jej w karnecie, a gdy skończyła, wyprowadził ją uniżenie z gabinetu innymi drzwiami, gdyż w poczekalni słychać było rozmowę.

— Dziś jeszcze — rzekł z głębokim ukłonem, odprowadziwszy klientkę aż na schody — pozwolę sobie zawiadomić księżnę o wyniku moich starań.

Odurzona wizytą w agencji Detecto i obawiając się spotkać z Bohuszem, księżna nie opuszczała już dnia tego mieszkania.

Detektyw dotrzymał słowa. Przed wieczorem nad-

szedł od niego, przesłany pocztą pneumatyczną, list treści następującej:

„Dziś w nocy profesor Bohusz wyjeżdża do Londynu. Sądzę, że jutro da się wszystko urządzić. Zrana zawiadomię o dalszym przebiegu sprawy”.

Z bijącym sercem księżna przeczytała list raz i drugi. Ani na chwilę nie przeszło jej przez myśl, że wiadomość ta może mieć dla niej skutki inne, niż przypuszczała.

— A więc już jutro — szepnęła radośnie — będzie przy mnie!

Po chwili znów uśmiech wykwitł na jej twarzy, gdyż myśl nowa przemknęła jej przez głowę:

— Zapłacił dwadzieścia tysięcy, aby zapoznać się z tą aktorką, ja zapłacę także dwadzieścia tysięcy, aby go od niej uwolnić. Dziwne zrządzenie losu!

To też, gdy wkrótce potem lokaj zaanonsował hrabinę Stade, przyjęła kuzynkę rozpromienioną.

* *

Ajencja Detecto miała szanse zarobienia dwudziestu tysięcy franków w ciągu doby, złożyło się bowiem istotnie tak, że Bohusz wyjeżdżał tej nocy do Londynu, wezwany tam na naradę przez Jamesa,

z czego bezwątpienia Liane skorzystać nie omieszka.

Chodziło więc tylko o to, aby zawrócić go z drogi.

O godzinie trzeciej nad ranem, pociąg, wiozący wynalazcę eliksiru młodości, stanął w Calais w przystani, gdzie oczekiwał już parowiec, mający przewieźć podróżnych do Duwru.

Bohusz, zaspany, zerwał się z kanapy i sięgał

po walizkę, gdy do zajmowanego przez niego coupé wpadł chłopiec w czapce urzędowej.

— Czy profesor Bohusz?—spytał, zdejmując czapkę.

— Tak!—odparł ze zdziwieniem zagadnięty.

— Oto depesza dla pana!—zawołał chłopiec, podając złożony papier niebieski.

Bohusz rozerwał pieczętkę i czytał:

„Przyjeżdżaj, jestem cierpiąca. Liane”.

Zadrżał przerażony. Był przecież u niej po południu dnia poprzedniego i zastał ją zdrową i wesołą.

Pożegnała się z nim czule i żeby choć słowo skargi usłyszał na niedomaganie jakiegokolwiek! Umówiła się z nim, że zaraz po jego powrocie zrobią dłuższą wycieczkę samochodem. Co się więc stało? Wprawdzie wieczorem nie mógł jej już odwiedzić, będąc bardzo zajęty — co teraz wyrzucał sobie gorzko — a przez ten czas mógł się zdarzyć jaki wypadek, mogło nastąpić zaślabnięcie nagłe!

Pot zimny wystąpił mu na czoło, nie wyobrażał już bowiem sobie życia bez tej kobiety, która zdołała opętać wszystkie jego zmysły.

A chłopiec czekał.

— Czy będzie odpowiedź? — zapytał wreszcie nieśmiało, podając blankiety telegraficzne.

Bohusz ocknął się z zadumy.

— Kiedy odchodzi pociąg do Paryża?—spytał.

— Już stoi przygotowany — odparł chłopiec. —

Odejdzie za dwadzieścia minut.

Bohusz skreślił na podanym sobie blankiecie:

„Wracam natychmiast”, podpisał się i wręczając chłop-

cu blankiet razem z banknotem stufrankowym, dodał:
— Reszta dla ciebie.

Chłopiec skłonił się, chuchnął na banknot, wyskoczył z wagonu i pobiegł do biura telegraficznego, tam jednak nie oddał depeszy przy okienku, lecz wsunął ją w rękę oczekującemu mężczyźnie, który schował szybko papier do kieszeni, ruszył do poczekalni i odszukawszy oczyma Bohusza, śledził już każdy krok jego.

W pół godziny potem pociąg kolejowy unosił z powrotem nad Sekwanę naszego wynalazcę, tak zatroskanego chorobą ukochanej, że zapomniał nawet wysłać depeszy do Londynu.

* * *

Księżna spała jeszcze w najlepsze, gdy obudziło ją lekkie dotknięcie. U łóżka stała panna służąca, trzymając depeszę w ręce.

Obudzona siadła szybko na łóżku i rozerwała pieczętkę drżącymi rękoma.

„Profesor — brzmiała depesza — powraca. Będzie u przyjaciółki około dziewiątej. Na wyniki czekać będę u zbiegu ulic...” (tu depesza wymieniała ulice w pobliżu pałacyku Liane).

Księżna spojrzała na zegarek. Była godzina -ma.

- -

— Za godzinę — szepnęła — wszystko się rozstrzygnie.

I nagle, teraz dopiero, przejął ją lęk o ukochanego i mózg zaczął snuć myśli gorączkowe.

Wszak ten tenor—to atleta. A może jeszcze ma broń przy sobie? Wszak opowiadano jej, że żaden hi-

szpan nie rozstaje się nigdy z zakrzywionym, zjadliwym nożem katalońskim...

Przeraziło ją to do tego stopnia, że wyskoczyła z łóżka.

Jeszcze raz przebiegła oczyma depeszę. Kierownik agencji Detecto zawiadamia, gdzie będzie oczekiwał na wynik zarządzanej pułapki. Widocznie zatem spodziewa się, że i jego klientka przybędzie na to miejsce, aby się dowiedzieć zaraz o wszystkim.

Jechać czy pozostać?

Spojrzała na zegarek. Zaledwie pięć minut upłynęło. Ma jeszcze czas.

Niepokój wreszcie przemógł. Zadzwoiła na pannę służącą, kazała przygotować samochód i zaczęła się szybko ubierać.

Gdy pociąg stanął na dworcu Północnym, a Bohusz, wyskoczywszy z wagonu, ujrzał wysypujących się z nim razem na peron podróżnych, zdawało mu się, że nigdy nie zdoła przecisnąć się przez te tłumy, że naumyślnie chyba tym właśnie pociągiem zjechali się turyści z całego świata, aby jemu drogę zagrozić, narazić go na mękę posuwania się krok za krokiem ku wyjściu. Tak samo, gdy nareszcie stanął na ulicy,

- —

zdawało mu się, że wszyscy szoferzy paryscy wiedzą już o jego niepokoju i umyślnie narażają go na męki oczekiwania. W końcu jednak znalazł się litościwy. Bohusz wskoczył do samochodu i kazał się zawieść do pałacyku Liane.

Nareszcie stanął na miejscu. Tu zdziwiło go nieco, że piękne wrota kute, zwykle na oścież otwarte, są

dzisiaj zamknięte. Domyślił się jednak, że zamknięto je z powodu choroby Liane, aby uniknąć turkotu powozów i beczenia trąbek samochodowych, zajeżdżających przed pałac. Wskoczył więc z samochodu na ulicy i wpadł przez boczną furtkę na podwórze. Wszędzie panowała cisza. Nikt ze służby nie wyszedł na jego spotkanie, choć musiano go oczekiwać. Nacisnął klamkę wielkich drzwi dębowych. Były otwarte. Grube, miękkie kobierce przedsionka i schodów tłumyły odgłos jego kroków. Przebiegł schody, skrzył na korytarz i z sercem kołującym mocno podszedł na palcach do drzwi tak dobrze znanego buduaru. Cicho nacisnął klamkę, z wolna otworzył drzwi, aby nie skrzypnęły, postąpił krok naprzód i stanął — jak piorunem rażony.

Oczy rozwarły mu się szeroko, gardło zaschło, piersi dyszały ciężko, a krew uderzała falami w skronie i ciemię.

Na otomanie tureckiej, stojącej w kącie buduaru, siedział rozparty Rodriguez w słodkim sam na sam z Liane, czarującą w powiewnym stroju porannym. Tak byli zajęci sobą, że w pierwszej chwili nie spostrzegli wchodzącego. Dopiero, gdy z piersi Bohusza wyrwał się jęk chrapliwy, jak z piersi rozjuszo-

nego zwierzęcia, hiszpan podniósł oczy i zerwał się, przerażony, z otomany. Liane krzyknęła lekko, odtrącona brutalnie przez śpiewaka, zoczywszy jednak we drzwiach Bohusza, zwróciła się ku niemu całą postacią i z wyrazem zdziwienia w oczach, rzekła uśmiechnięta:

— Tiens, encore a Paris?

A Bohusz stał wciąż osłupiały. Wstyd, zawód, rozpacz, ogarnęły całą jego istotę.

W tej chwili promień słońca wtargnął ukosem przez okno do buduaru i uderzył w stojący na doniosłości ręki, oparty o podstawkę, na hebanowej, inkrustowanej srebrem konsoli, cyzelowany talerz złoty, krzesząc na drobnych rzeźbach jego iskierki zielonawe. Przed tygodniem zaledwie kupił to arcydzieło, przypisywane Benvenuto Celliniemu, w Hôtel Drouot, na licytacji dzieł sztuki po znanym zbieraczu. Teraz refleks zielonawych iskierek starego złota, wpadający mu kątem do oka, odtworzył w umyśle zgnębionym całą tę scenę z wyrazistością brutalną. Widział Liane, trzymającą ów talerz w ręce i przyglądającą się przez szkło powiększające drobnym, skłębionym postaciom walczących rycerzy, wyrzeźbionym misternie na dnie naczynia i splotom kwiatów stylizowanych w otoku. Nie miała dość słów zachwyty dla arcydzieła. Za nią stał Rodriguez i przechyliwszy się, spoglądał przez jej ramię na talerz. Wówczas Liane odwróciła się i podając go śpiewakowi, razem ze szkłem powiększającym, wskazywała, podniecona, niektóre piękności wybitne tego cacka.

I Bohusz pochylił się nad talerzem, bardziej jednak interesowało go niezwykle podniecenie i rozpromienienie Liane, czyniące ją tak ponętną, że nie mógł oderwać od niej wzroku, a gdy po przejściu klejnotu z rąk do rąk, rozpoczęła się jego licytacja, podbijał cenę do tego stopnia, że nawet przedstawiciel nowo-

jorskiego Morgana cofnął się w końcu przed wysokością sumy, a talerz stał się własnością profesora i powędrował do pałacyku aktorki.

Że podczas tego przetargu ukochana jego zwracała się wciąż do Rodrigueza, rozmawiając z nim z ożywieniem — uważał to wówczas za rzecz całkiem naturalną, boć Liane była znaną aktorką, Rodriguez słynnym śpiewakiem, łączyły więc ich deski teatralne, i znać się musieli. Dziś dopiero, teraz, w tej chwili, niektóre szczegóły tej rozmowy, na pozór banalnej, niektóre spojrzenia wówczas zamieniane, wystąpiły przed nim jaskrawo w świetle właściwym i zrozumiał, że już wówczas Liane musiała być kochanką hiszpana. Pod wpływem tych myśli, porwany nagłym, niepoahamowanym gniewem, wyprężył rękę, schwycił za talerz i rzucił go w stronę otomany.

Drżący, jak liść, pomimo kształtów atletycznych, śpiewak uniknął pocisku, schyliwszy się zręcznie i pierzchnął sromotnie z pokoju, talerz, uderzył o ścianę i odbiwszy się od niej, padł pogięty na otomanę, Liane zaś, przechyliwszy się na poduszki, wybuchnęła śmiechem szalonym, czy to na widok pierzchającego bohaterskiego tenora, czy też rozjątrzonego wynalazcy eliksiru młodości.

A może — obu.

Ośmieszony! To dobiło Bohusza. Zatoczył się, wybiegł z buduaru, minął, usuwając się szybko na bok pokojówkę i czepiając się ścian, raczej stoczył się, niż zbiegł, ze schodów.

— Est-il soul! — szepnęła, patrząc na staczające-

go się, pokojówka.

Zgarbiony, zmartwiały dotarł wreszcie do czekającego samochodu.

Szofer otworzył szeroko oczy, spojrzawszy na twarz powracającego gościa.

— Przed siebie, za miasto, potrzebuję powietrza!— zawołał Bohusz głosem złamanym i padł bezwładny na poduszki...

Szofer, przyzwyczajony widocznie do kapryśków klienteli, ujął, bez słowa, koło kierownika i popędził.

Pod wpływem odniesionego ciosu, bohater nasz przestał myśleć refleksyjnie. Umysł jego stał się szkłem matowym, nie przepuszczającym żadnych myśli głębszych. Nie zastanowił się nawet, że najwidoczniej ktoś zawrócił go z drogi do Anglii umyślnie, aby zastał Liane ze śpiewakiem. Jedna tylko myśl tkwiła mu świekiem w głowie, myśl uporczywa i gnębiąca, że zdradzony jest przez tę właśnie kobietę, dla której gotów był na wszystko.

I pod ciężarem tej myśli ugiął się coraz bardziej.

Księżna, podjeżdżając do miejsca wskazanego w depeszy, - ujrzała detektywa, stojącego z rękoma w kieszeniach palta i spoglądającego flegmatycznie w stronę jej samochodu. Widocznie przewidywał, że

klientka jego nie zdoła opanować ciekawości i przyjedzie.

Poznawszy ją, sięgnął spokojnie do kapelusza, a gdy samochód stanął, podszedł do niego i rzekł szeptem:

— Księżna pani będzie zadowolona. Wszystko

dało się urządzić jaknajlepiej. Profesor już przybył.
Serce jej zakolało gwałtownie.

Dokoła panowała cisza. O tak wczesnej bowiem godzinie ulice dzielnicy, w której sklep jest rzadkością, były prawie puste. Gdzieś tylko przesunęła się postać bony lub chłopca sklepowego, roznoszącego artykuły spożywcze do klientów.

Nie obawiając się więc oczu niedyskretnych, księżna wysunęła głowę z samochodu.

— Dawno?—spytała głosem drżącym.

— Przed kwadrans — odparł, spoglądając na zegarek i nagle, rzuciwszy okiem na wyjeżdżający w tejże chwili z poza rogu ulicy samochód, zawołał:

— Oto jedzie!

— Kto, profesor?

— Tak jest.

Księżna drgnęła i chciała już rzucić szoferowi rozkaz ruszenia, gdy przypomniała sobie, że zabrała pieniądze, aby załatwić się odrazu z detektywem. Wyjęła więc z woreczka paczkę banknotów i wsunęła mu ją szybko do ręki, poczem, nie patrząc już na jego ukłony, zawołała do szofera, wskazując na znikający samochód Bohusza:

— Proszę dopędzić tamten!

Ale samochód profesora znajdował się już daleko, przepisy zaś policyjne nie pozwalały przekraczać pewnej granicy szybkości, gonitwa więc była trudna i odległość pomiędzy samochodami nie zmieniła się prawie zupełnie. Dopiero, gdy minięto granice miasta, samochód popędził, jak wiatr.

Nowy gatunek człowieka, zwany szoferem, posiada właściwość taką, że gdy weźmie kierownik do ręki, to uczuwa nieprzepartą chęć do wyścigów.

Wprawdzie w miastach krępują go przepisy, niechno jednak wydostanie się poza mury miejskie, to ujrzawszy przed sobą inny samochód, dokłada wszelkich wysiłków, aby go doścignąć i prześcignąć, a jeżeli usłyszy za sobą trąbkę, to nachyla się nad kołem kierownika i uważa sobie za punkt honoru, aby się nie dać ubiec jadącemu z tyłu.

I szofer Bohusza nie był gorszy, niż inni, usłyszawszy więc za sobą trąbkę samochodu księżny, przyspieszył natychmiast tempo jazdy i im bardziej goniący dokładał wysiłków, aby go dopędzić, tern szybciej ścigany umykał przed współzawodnikiem. Już chyba z godzinę trwała ta szalona gonitwa, gdy nagle, na skřęcie gładkiej, jak stół, szosy, spostrzegł—na szczęście dość jeszcze daleko — zamknięty przejazd kolejowy.

Nie było rady innej, jak tylko zwolnić biegu i w końcu stanąć.

Pozwoliło to nareszcie szoferowi księżny dopędzić ściganego. Zrównały się samochody, a zaniepokojona i rozgorączkowana długą, szaloną jazdą księżna wychyliła się szybko przez drzwiczki pojazdu.

- —

Lecz na widok, który się jej oczom przedstawił, cofnęła się gwałtownie, ściskając kurczowo zacisniętymi palcami krawędź drzwiczek.

— Jean—zawołała, drżąc na całym ciele — Jean, czy to ty?

W samochodzie, stojącym u szlabana przejazdu, siedziała wprawdzie postać, przypominającą wynalazcę eliksiru młodości, ale była to już postać starca o twarzy pomarszczonej, oczach zapadłych, zgarbiona i bezwładna.

Usłyszawszy głos tak znany, Bohusz ocknął się z odrętwienia, podniósł oczy i szepnął:

— Ah, księżna! Skąd tutaj? Co to?

Ostatnie słowa wymówił, spostrzegłszy bladość śmiertelną na twarzy księżny i wyraz niewysłowionego strachu w oczach, utkwionych w twarz swoją.

Zadrżał, przechylił się i spojrział w małe zwierciadełko okrągłe, wprawione w przednią ściankę samochodu.

Był starcem!

W tej chwili rozległ się świst przeciągły. Zdaleka ukazał się pociąg, pędzący ku Paryżowi.

W Bohuszu błysnęła jeszcze iskra dogasającej energii młodzieńczej.

Oczy jego padły na pociąg i ogarnęła go myśl rozpaczliwa rzucenia się pod koła nadbiegającego potwora. Zerwał się więc na nogi i usiłował otworzyć drzwiczki samochodu. Dygocące jednak ręce odmówiły posłuszeństwa, kolana ugięły się i wreszcie runął bezsilny na poduszki.

- -

Gdyby teraz mógł był spojrzeć na Ninę, to ujrzałby, że i jej twarz piękna kurczy się, marszczy, ściąga, jak jabłko zmarznięte, oczy zapadają się i maleją, a na skroniach widać już wśród włosów kruczych pasma siwe...

Nie wytrzymał nadmiaru cierpienia, huraganu wrażeń, nawału uczuć eliksir młodości profesora Bohusza! Opowiadają kroniki o ludziach młodych i zdrowych, którzy pod wpływem wielkiego strachu lub bólu, postarzelili się i posiwili w ciągu jednej nocy. Surrogatowi młodości wystarczyło na to daleko mniej czasu.

VIII NA GIEŁDZIE.

Następnego dnia baron Golder wszedł, jak zwykle, o godzinie -ej, do gabinetu swego nad kantorem bankowym przy placu Giełdy.

— Czy jest Szmulowicz? — spytał chłopca biurowego, zdejmującego mu palto.

Szmulowicz był prokurentem firmy Golder et Comp.

— Poszedł już na giełdę, panie baronie — odparł chłopiec.

Kupiwszy sobie, po dojściu do majątku, tytuł baranowski w jakimś państewku egzotycznym, Golder dbał bardzo o to, aby w stosunkach z nim tytułu tego nie zaniedbywano.

— Niech więc — rozkazał — przyjdzie tu Dawid!

Chłopiec zbiegł po kręconych schodach żelaznych do kantoru bankowego od ulicy.

Po chwili w progu gabinetu stanął uśmiechnięty, zacierając ręce przyciśnięte do piersi i kłaniając się uniesieniem, kantorzysta Dawid.

— Co słyhać nowego? — spytał Golder, rozsiadając się na fotelu za biurkiem i przeglądając otyłą twarz w zwierciadełku kieszonkowym.

— Wszystko w porządku, panie baronie.

— Co to jest: wszystko w porządku? — zawołał bankier.—Ja chcę wiedzieć, jak stoją kursy! Dawid podbiegł szybko do stojącego obok biurka, na konsolce, przyrządu telegraficznego, przykrytego kloszem szklanym, z którego wysnuła się biała taśma telegraficzna, opadając do podstawionego na podłodze koszyka i zaczął czytać ostatnie wiadomości giełdowe.

Golder tymczasem wyjął z kieszeni grzebyk i rozczesywał starannie rzadką grzywkę, przeglądając się w zwierciadelku i robiąc od czasu do czasu uwagi, dotyczące się wymienianych przez Dawida papierów.

— A Pebeje wciąż idą w górę! — zauważył, gdy Dawid wygłosił kurs akcji Towarzystwa eliksiru młodości.

— Tak, panie baronie.

— Dużo mamy tego w kasie?

— Za milion czterysta osiemdziesiąt tysięcy franków, panie baronie, nie licząc kupionych dzisiaj.

— Kto sprzedał?

— Kamerdyner profesora Bohusza i szofer tej odmłodzonej księżny Basztańskiej.

Bankier oderwał oczy od zwierciadła i spojrzał na podwładnego.

— Swoje własne sprzedali?

— Swoje, panie baronie.

— Hm, może potrzebowali pieniędzy.

— Ale później — ciągnął Dawid — przybiegli tu jeszcze szef*) księżny i szofer profesora.

*) Chef de cuisine — kucharz.

— I także sprzedali?

— Także, panie baronie.

Golder schował szybko do kieszeni grzebyk i lusterko i wyprostował się na fotelu.

— Przybiegli?

— Przybiegli.

— Widziałeś ich?

— Widziałem.

— Jak wyglądali?

— Tak, panie baronie, jakby się im bardzo spieszyło.

Golder wyprostował się jeszcze bardziej i spoj-
rzał bystro na kantorzystę.

— Wiesz Dawid — szepnął po chwili, zamyślo-
ny—ja myślę, że w tern coś jest.

— I ja tak myślę, panie baronie.

— Ty nie myśl, Dawid, tylko słuchaj, co ja ci
powiem. Ja mam węch, ja mam dobry węch.

Mówiąc to, przyłożył dwa krótkie, wałkowate
palce do nosa i wciągnął mocno powietrze.

— Ty najpierw skoczysz, Dawid, na giełdę i po-
wiesz Szmulowiczowi, żeby do dalszego rozporządze-
nia nie angażował się w Pebeje. Rozumiesz?

— Rozumiem, panie baronie.

— Potem pojedziesz do profesora Bohusza i po-
wiesz: Pan baron Golder kłania się i pyta o zdrowie.

Możesz zresztą powiedzieć co innego, ale ty musisz
wybadać kamerdynera i szofera profesora Bohusza, dla-
czego oni dziś sprzedali akcje. Rozumiesz?

— Rozumiem, panie baronie — odparł Dawid

i mrugnął chytrze oczyma — to jednak trzeba zrobić szybko.

— No, to ty idź do kasjera i powiedz, że pan baron kazał wypłacić ci pięć franków na drogę. A jak ty się dobrze spiszesz — dodał, powstając z fotela i klepiąc kantorzystę po ramieniu — to ja cię dobrze wynagrodzę.

Dawid uklonił się i wybiegł.

Rozpostarty w fotelu przed biurkiem, baron Golder dłużył jeszcze wykałaczką w zębach po śniadaniu z pół butelką szampańskiego, gdy Dawid wpadł do gabinetu, szasnął za ledwie nogą, zamiast ukłonu, zbliżył się szybko do bankiera i, objąwszy rękoma głowę, zawołał szeptem, nachylony nad biurkiem:

— Co ja się dowiedziałem, panie baronie, co ja się dowiedziałem!

Golder schwycił się rękoma za poręcze fotela i wytrzeszczył na mówiącego oczy.

— Słuchaj Dawid — rzekł głosem drżącym — ty nie potrzebujesz mnie przestraszać, ty wiesz, że to mi szkodzi! Ty mów spokojnie: co się stało?

— Profesor Bohusz kłapa! — zawołał jednym tchem Dawid.

— Umarł? — spytał nieco uspokojony bankier, boć ostatecznie śmierć profesora nie mogła bardzo wpłynąć na kurs akcji Towarzystwa eliksiru młodości.

— Gorzej, panie baronie, daleko gorzej! — odparł rozgorączkowany buchalter.

— Co gorzej? Jak gorzej? Ty mnie nie męcz Dawid i powiadaj!

— On się zupełnie zestarzał! — recytował wolno kantorzysta, złożywszy palec wielki i wskazujący prawej ręki i podkreślając ruchem jej każdy wyraz.

- —

Golder zerwał się na równe nogi. Zrozumiał. Zestarczenie się wielkiego wynalazcy, który pierwszy za pomocą cudownego eliksiru odzyskał młodość w siedemdziesiątym drugim roku życia, »to upadek gwałtowny, straszny kursu Pebejów z dnia na dzień.

— Słuchaj Dawid, Dawidek—szeptał głosem świszczącym, bo gardło ścisnęło mu się i zaschło — czy ty jesteś pewny tego, co mówisz?

— Żebym ja nie miał szczęścia znać pana barona, jeżeli to nieprawda! On się wczoraj pokłócił strasznie, czy pobił, z tą odmłodzoną księżną Basztańską o tę aktorkę Liane, której kupił pałac za półtora miliona i odrazu iajtl—postarzelili się oboje. Ja panu baronowi powiem więcej—dodał, przełykając ślinę i wyciągając szyję — ja go widział na własne moje oczy (zapomniał dodać, że przez dziurkę od klucza), on leży zupełnie stary!

Golder słuchał wzruszony, uspakajał się jednak stopniowo. Trzeba było działać.

— Panie Dawid—rzekł nagle tonem uroczystym, kładąc nacisk na wyraz „panie”, aby podwładny zrozumiał doniosłość tej łaski—panie Dawid, pan się spiął dobrze. Ja panu to wynagrodzę. Od pierwszego podwyższam panu pensję o pięć, nie, o dziesięć franków. Baron Golder dotrzymuje słowa!

Mówiąc to, przybrał postawę szlachetnego rycerza i zaczął bębnić grubymi palcami po kamizelce.

Dawid uklonił się nisko, zacierając ręce.

— Dziękuję panu baronowi, bardzo dziękuję, ale ja musiałem zapłacić szoferowi profesora Bohusza śniadanie, żeby mi wszystko powiedział,

- —

— Dużo?

— Dwadzieścia franków.

— Aj, Dawid!—zawołał Golder, lecz, spostrzegłszy się, poprawił z uśmiechem słodkim na twarzy — panie Dawid, co mnie pan kosztuje! Ale niech już tak będzie! Powiedz pan kasjerowi, że pan baron kazał wypłacić ci dwadzieścia franków. Tylko sza, panie Dawid, sza! Ani słówka nikomu!

Po tych słowach, zadzwonił na chłopca i, włożywszy szybko palto, pobiegł na giełdę, aby osobiście polecić Szmulowiczowi sprzedaż akcji Towarzystwa eliksiru młodości, które tymczasem wciąż szły w górę.

Dawid spoglądał ze złośliwym uśmiechem na odchodzącego.

— On myśli — monologował — że ja taki głupi! Że ja wypuszczę taki interes z ręki? On myśli, że gdy ja mu uratowałem miljon, a on mi dał za to dziesięć franków podwyżki, to już wszystko w porządku?

Ganef!

Okrzykiem tym, podobnym do szczeknięcia, zakończył rozmyślenia, skoczył na wysoki stołek przy kantorku i zaczął szybko przewracać karty ksiąg rachunkowych, robiąc notatki na ćwiartce papieru. Po kwadransie tej pracy, schował ćwiartkę do kieszeni, zerwał się ze stołka i skinął na chłopca biurowego.

— Charles, gdyby tu przyszedł stary i pytał się

o mnie, to mu powiedz tak: Pana Dawida nagle zabolął brzuch. Pan Dawid przestraszył się, bo pomyślał sobie, że to może cholera (Golder bał się okropnie cholery) i poleciał do doktora. Rozumiesz?

— Rozumiem — odparł chłopiec.

— Masz za to franka! Możesz sobie dołożyć i pójść wieczorem na walki atletów do Folies Bergeres. Przy tych słowach, wyjął z kieszeni od kamizelki franka, wetknął go ruchem, zapożyczonym od Goldera, w dłoń chłopcu i wymknął się z kantoru. Zrozumiał, że nadarza się okazja niezwykła, której trzeba chwycić się oburącz. Wprawdzie, obliczwszy skrupulatnie swe kapitały, przekonał się, że posiada zaledwie trzydzieści pięć franków razem z temi, które otrzymał od Goldera za rzekome śniadanie z szoferem Bohusza. Z takimi pieniędzmi nie sposób rozpocząć gry giełdowej na własną rękę tak, aby zarobić odrazu tysiące. Posiadał jednak tajemnicę, która jutro może nią już nie być, a dziś jest jeszcze złotem. Przekuć to złoto na monetę brzęczącą, póki jeszcze czas, to właśnie spryt. Dawidek zaś miał spryt wrodzony. To też zanim wieczór zapadł, zarobił daleko więcej, niż wynosiła pensja jego roczna w kantorze bankierskim, dzieląc się pozyskaną tajemnicą z wynotowanymi z ksiąg Goldera właścicielami akcji Towarzystwa eliksiru młodości, tudzież ze znanymi sobie kulisjerami giełdy.

I w sam czas zdobył Dawid tę drogocenną tajemnicę, zaledwie bowiem wyszedł z domu Bohusza, gdy przed domem tym stanął samochód z Legrandem

i Jamesem, którzy, powróciwszy właśnie z Londynu, zajechali do wynalazcy, aby się dowiedzieć, dlaczego nie przybył do stolicy Anglii.

Nie podejrzewając nic złego, weszli, rozmawiając wesoło, do mieszkania profesora. Tu wszakże powitał ich kamerdyner miną pogrzebową.

— Wszystko stracone — westchnął ponuro, gdy spytali o nowiny.

— Co się stało, na Boga! — zawołał Legrand wystraszony.

— Niech panowie sami zobaczą! — odparł i, ruszywszy przodem, otworzył drzwi sypialni.

— Proszę! — rzekł cicho.

Stanęli osłupiali. Przed nimi leżał już osiwiąły, pomarszczony starzec, bredzący w malignie!

I to ma być ten sam Bohusz, którego opuścili onegdaj pełnego sił i zdrowia młodzieńczego?

Zimny dreszcz przebiegł po nich. Cofnęli się przerażeni.

Towarzystwo międzynarodowe eliksiru młodości profesora Bohusza zachwiało się w fundamentach.

O zastosowaniu eliksiru choremu w takim stanie mowy nie było.

Pozostawało narazie tylko zachowanie tajemnicy jaknaj ściślejszej.

Tak Bohusza, jak i księżnę - bo z przedsięwziętych zaraz badań Legrand dowiedział się o przyczynie katastrofy — otoczono opieką lekarzy zaufanych, a służbie zakazano wpuszczać kogokolwiek do chorych.

Niestety, zarządzenia te były już spóźnione.

* * *

Nazajutrz, od samego rana, ujawniła się na giełdzie silniejsza, niż zwykle, podaż Pebejów. Z początku kupowano chętnie, gdyż dzienniki przyniosły ze wszystkich stron świata wiadomości o cudownych wynikach, osiągniętych przez eliksir profesora Bohusza. Stopniowo

jednak podaż akcji wzmagala się coraz bardziej, a po giełdzie zaczęły krążyć najpierw cicho, a potem coraz głośniej, wieści o nagłym zestarzeniu się Bohusza. Wieści te wkrótce przybrały kształt zupełnie realny. Opowiadano już sobie o zejściu Bohusza z Liane i ze śpiewakiem, tudzież o spotkaniu się profesora z księżną i choć nie dobrze rozumiano jeszcze związku, zachodzącego pomiędzy obu temi zdarzeniami, to jednak fakt ponownego zestarzenia się obojga odmłodzonych starców nie ulegał już żadnej wątpliwości.

Niepokój ogarnął wszystkich posiadaczy Pebejów. Podaż więc akcji wzmagala się z każdą chwilą, natomiast liczba nabywców malała przerażająco, to też kurs staczał się coraz niżej i niżej.

Już i przed biurem Towarzystwa P. B. E. Y. zaczęły gromadzić się tłumy. Zaniepokojona sprawozdaniem Legranda i Jamesa z wizyty ich u Bohusza, tudzież wiadomościami, nadchodzącymi z giełdy, rada zarządzająca Towarzystwa zebrała się na posiedzenie nadzwyczajne. Przed samem zamknięciem giełdy sytuacja poprawiła się nagle. Rozeszła się bowiem wiadomość, że Towarzystwo, uzyskawszy poparcie finansowe banków, skupuje akcje. Uspokojeni właściciele Pebejów postanowili przeczekać kryzys.

Uspokojenie wszakże trwało niedługo. Już wieczorem niektóre dzienniki brukowe zanotowały kilka faktów nagłego postarzenia się odmłodzonych starców, którzy, umieściwszy cały swój majątek w akcjach Towarzystwa eliksiru młodości, przerazili się paniki giełdowej dnia tego.

W ciągu nocy telegraf przyniósł jeszcze więcej takich nowin...

Gdy dnia następnego otwarto giełdę, kolumny jej korynckie znów zadrżały od ryku giełdowców. Lecz tym razem był to ryk rozpaczny. Setki, tysiące akcji ofiarowywano na sprzedaż. Przed biurem Towarzystwa eliksiru młodości cisnęły się takie tłumy, że musiano zażądać interwencji policji.

Przerażone banki, nie chcąc narazić się na dalsze straty, odmówiły pomocy Towarzystwu.

I rozpoczął się krach, krach dawno niewidziany na giełdzie paryskiej.

Rysował się coraz bardziej i groził zupełnym runięciem wspaniały gmach Towarzystwa eliksiru młodości prof. Bohusza!..

Ale, podobno, baron Golder, pozbywszy się swoich akcji po wysokich jeszcze cenach, umiał wyzykskać popłoch ogólny i skupuje teraz cichaczem te same akcje, ba, więcej nawet, niż posiadał, za bezcen, wnioskując sprytnie, że, bądź co bądź, jest w nich przyszłość, tylko trzeba umieć czekać, bo choćby nawet dziesiątki tysięcy odmłodzonych starców utraciło, wskutek gwałtownych wzruszeń, odzyskaną młodość, to jednak znajdą się setki tysięcy i miliony takich,

którzy będą gotowi zapłacić całym mieniem za odzyskanie młodości bodajby na krótko. .

I chyba się nie myli.

A może... może eliksir młodości zdoła również raz jeszcze przywrócić młodość swemu wynalazcy i pięknej ks. Ninie?

KONIEC.